

## **„TWORZYĆ EUROPE” — ALE PO CO?**

Euforia europejska osiągnęła szczyt. Przyspieszenie procesu integracji Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej jest teraz uważane za główny, a nawet dominujący cel nie tylko przez władze niemal wszystkich krajów członkowskich, ale także przez ich opinię publiczną.

Uwieczniając osiągnięcie zgody krajowych rządów i parlamentów odnośnie do stworzenia — począwszy od 1992 r. — obszaru „bez granic wewnętrznych, w których będzie zapewniony wolny ruch osób, dóbr, usług i kapitałów”, jednobrzmiały Akt Europejski dał już w roku 1985 niezaprzeczalny impuls dla tego przyspieszenia, wyznaczając ostateczną datę urzeczywistnienia „Jednego Rynku” oraz, o czym często się zapomina, rozszerzając cele Traktatu Rzymskiego na nowe dziedziny: współpracę polityczną, unię gospodarczą i walutową, ochronę środowiska, badania naukowe i politykę społeczną. Zgadając się na podpisanie tego Traktatu, ratyfikowanego przez parlamenty krajowe, państwa członkowskie wyraźnie zaakceptowały podporządkowanie się procedurom, które coraz bardziej ograniczają to, co zwie się ich „suwerennością”, to znaczy ich zdolność do indywidualnego sprzeciwu wobec decyzji korzystnych dla ich partnerów. Rozszerzenie sfer, gdzie większość kwalifikowana w głosowaniu wystarczy, aby przyjąć „wytyczne” obowiązujące wszystkich, jest najbardziej jaskrawym przykładem tego nowego stanu rzeczy.

Opinie publiczne najwyraźniej akceptują ten cel polityczny, a przynajmniej samą zasadę. Przedsiębiorstwa są coraz bardziej rozgoryczone przepisami krajowymi, które uniemożliwiają im swobodny import lub eksport, oraz długotrwałymi i kosztownymi procedurami, jakie narzucają im państwa, chociaż ich stosunki z konkurentami i partnerami europejskimi są obecnie chlebem powszednim. Turyści nie rozumieją, dlaczego zatrzymuje się ich na granicy hiszpańsko-francuskiej, dlaczego ogranicza się do minimum ilość butelek wina czy paczek papierosów, które mogą przywieźć po pobycie w kraju, którego nie uważają już tak naprawdę za obcy, a w każdym bądź razie za rywala czy wroga. Rozwój wymiany dóbr, usług i osób pomiędzy państwami członkowskimi jest wreszcie taki, że trudno sobie wyobrazić, by poważne konflikty mogły przerwać ten przepływ. Zwłaszcza sama możliwość konfliktu zbrojnego wydaje się być absurdem, o któ-

rym nie warto nawet wspominać; wydaje się on tak mało prawdopodobny, że opinie publiczne odrzuciłyby wszędzie masowo taką ewentualność.

Ale zejdźmy teraz z Syriusza i wylądujemy w Paryżu, gdzie odpowiedzialni urzędnicy starają się wprowadzać w życie wydane im instrukcje polityczne. W prefekturach, związkach zawodowych, w najmniejszym z naszych gospodarstw rolnych i w najmniejszej z naszych fabryk, rezultaty decyzji europejskich dają się coraz bardziej odczuć. A sytuacja jest nieco inna od tej, którą właśnie opisaliśmy. Czy Rada Ministrów Rolnictwa uzyska kompromis zmierzający do liberalizacji handlu baraniną i zjednoczenia rynku tego mięsa? Jeśli ucierpią na tym francuskie ceny, obecnie zagrożone konkurencją rynku brytyjskiego, nie kto inny jak francuscy prefekci otrzymają w prezencie od rozzłoszczonych producentów wyśmienite jagniątko... wrzucone do budynków prefektur przez rozbite szyby. Jeśli przewiduje się obniżkę ceny zboża, bardzo istotną dla konkurencyjności europejskiego eksportu wobec reszty świata, Niemcy i Hiszpanie odrzucą taką decyzję, broniąc dochodów swych urażonych obywateli. Jeśli Komisja zabroni rządowi pomocy dla jakiegoś dużego przedsiębiorstwa narodowego, oskarżając je o niełojalną konkurencję w stosunku do innych budowniczych francuskich i europejskich, pojawia się natychmiast żywa reakcja: nie igra się w ten sposób z symbolami narodowej gospodarki. I, oczywiście, wyłącznie francuskie władze polityczne poniosą kosztą kryzysu, jeśli interesy uznane za istotne, zostaną zagrożone; albowiem ponoszą one w oczach wyborców ostateczną odpowiedzialność za „obronę interesów narodowych”. Obywatele wypowiadają się za Europą, ale tylko o tyle, o ile służy ona ich partykularnym interesom.

W dziedzinie stosunków międzynarodowych istnieją te same napięcia. Z jednej strony wielkie, jednogłośne deklaracje: Europa nie chce niczyjej krzywdy, nie ma zamiaru zamykać swego rynku, kocha kraje śródziemnomorskie, kraje Afryki, Karaibów, Pacyfiku; gotowa jest otworzyć się na japoński eksport, jeśli tylko Japonia podejmie wysiłki dla otwarcia swego własnego rynku; będzie lojalnym partnerem Stanów Zjednoczonych, pomoże swym braciom z Europy Środkowej i Wschodniej, nareszcie uwolnionym z jarzma totalitaryzmu. Z drugiej strony konkretne problemy: czy mamy wpuścić japońskie samochody? Debata pomiędzy państwami członkowskimi jest trudna. Kto, Europa czy Stany Zjednoczone, zyska sobie miejsce dominującej potęgi na zbożowych rynkach światowych? Nikt tego nie wie, ale wyklucza się „złożenie broni” i oto dwaj partnerzy rywalizują między sobą w subwencjach dla rolnictwa. Trzeba pomóc biednym naszej

planety, ale nie należy dawać im zbyt dużo pieniędzy, ani ułatwień w dostępie do niektórych naszych rynków, gdyż rodzimi producenci mogliby wówczas ucierpieć z powodu tej nowej konkurencji.

Dziwny dramat i tysiące godzin spędzonych na wypracowywaniu najwidoczniej kulejących kompromisów i interpretacyjnych oświadczeń, czasem lawirujących, aby dokuszytać do często dziwnych i zawsze skomplikowanych syntez. Łatwo jest wówczas rozdzielić role. Szefom państw przypada wielkie zadanie: Europa jako nowa ziemia pokoju, dobrobytu, jedności i solidarności; administracji — niewdzięczne sprawy budżetowe, finansowe i handlowe, pod ciągłą presją interesów grupowych; dziennikarzom — szersza gama obejmująca różne tematy w zależności od humoru: „Europa zagrożona rozbiciem”, „1993: wielki plan”, lub: „Czy Francja znajdzie się na przegranych pozycjach podczas urzeczywistniania Wielkiego Rynku?” Do wyboru, do koloru.

Wszystko to rodzi pewną liczbę kwestii, dość zasadniczych, które trzeba rozpatrzyć. Nie można w istocie zadowolić się czymś w rodzaju dialektyki, gdzie współistniałyby bezustannie dwa języki: jeden ogólny i niekwestionowany na temat Europy jako nowej jakości politycznego działania; drugi, szczegółowy, o konieczności zagwarantowania interesów państwowych i grupowych. Czy jest to podwójny język, czy też między dwiema mowami może istnieć synteza?

Ponadto, co jest sprawą jeszcze bardziej zasadniczą, odzywają się głosy potępiające Europę liberalną, technokratyczną, ekonomiczną, materialistyczną, przeciwstawioną Europie ludów, kultur i ludzi, nośnikowi obecnie zapomnianego sensu, dla której wszystko pozostaje jeszcze do zrobienia. Jak gdyby ludzie, którzy wymyślili Europę, zapomnieli o tym aspekcie sprawy na rzecz zamysłu sprowadzonego do ideologii sklepikarza; jak gdyby słynne słowa ubolewania Jeana Monneta — „Gdybym miał zaczynać wszystko od początku, zacząłbym od kultury” — pozostały dotychczas jedynie martwą literą. Kwestia „wartości europejskich” zasługuje także na poszerzenie.

Wreszcie w sposobie, w jaki przedstawia się obecnie ambicje europejskie, jest coś prawie absolutnego; miejsce, gdzie ścierają się od przeszło czterdziestu lat wezwania — z jednej strony do nacjonalizmu i realizmu, a z drugiej strony do ponadpaństwowości i do ustanowienia nowego ładu zbiorowego, jak gdyby rozwiązanie tej wewnętrznej sprzeczności mogło przynieść radykalne rozwiązanie specyficznie politycznych problemów, które stają przed społeczeństwami i — ogólnie — przed światem: problemu wojny i pokoju, problemu dobrobytu i ubóstwa, problemu — jeszcze głębszego — sensu działania i nadziei ludzi. Wszystko dzieje

się tak jak gdyby Europa była sama w sobie jakimś sensem działania politycznego, a nawet właściwym sensem tego działania, tak że zastanawiamy się, co pozostanie do zrobienia, kiedy już... ją stworzymy! Ta „mityczna” funkcja musi być także zmierzona miarą problematyk ogólnych, które powinny nadać odpowiednią strukturę refleksji politycznej i społecznej, nie zaniedbując, zwłaszcza w tym względzie, filozoficznego, a nawet religijnego punktu widzenia, które mogą być tu zastosowane.

## I. EUROPA GOSPODARCZA, CZYLI O SŁUSZNEJ GODNOŚCI SKLEPIKARZY

Jest coś szokującego w tym, co niektórzy wygadują o Europie kupców, jak gdyby realizacja Wspólnego Rynku była, w gruncie rzeczy, jedynie procesem drugorzędym w porównaniu z wyższą odpowiedzialnością ciążącą na nosicielach słów i idei. Trzeba być bardziej sprawiedliwym wobec wysiłków podejmowanych codziennie, aby stworzyć ten wspólny aspekt gospodarczy i przyznać im należne miejsce w całym procesie europejskiego zjednoczenia bez względu na historyczną wagę, która kiedyś przyznana zostanie temu procesowi. Aby to docenić, nie ma nic lepszego niż pielgrzymka do źródeł.

### 1. Logika założycieli

Tym, którzy pragną przedsięwziąć tę pielgrzymkę, zalecam lekturę pamiętników Jeana Monneta; tak ważne są początkowe przemyślenia tego, który jawi się bezsprzecznie jako ojciec i założyciel Wspólnoty Europejskiej.

a) *Europejska Wspólnota Węgla i Stali (CECA)*. Liczne aspekty działalności zapoczątkowanej bezpośrednio po zakończeniu wojny przez tego inspiratora znajdują wyraźne odzwierciedlenie w zaciągach, które doprowadziły do stworzenia Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali. Problem był wyjątkowo złożony. Francja, całkowicie zaangażowana w dzieło odbudowy, znalazła się od 1950 roku, mimo kredytów przyznanych jej przez plan Marshalla, w wielkich kłopotach z powodu przyspieszonej odbudowy niemieckiej gospodarki. Perspektywy rozwoju przemysłu metalurgicznego, z niezwykle konkurencyjnymi cenami, mogły rodzić obawy, że Niemcy zużyją wszystkie zasoby węgla, którego import do Francji był przecież warunkiem niezbędnym do przetrwania naszej własnej metalurgii. Nawet gdyby to zagrożenie nie istniało, Francja uważała się za niezdolną do podniesienia rękawicy, zważywszy wyższość przemysłu niemieckiego.

Taka sytuacja stwarzała niezwykle poważne ryzyko polityczne. „Wystarczy zasygnalizować pewne fakty — pisał wówczas Jean Monnet, ówczesny Komisarz do Spraw Planowania — bez potrzeby szczegółowego opisywania ich konsekwencji: Niemcy w trakcie ekspansji; niemiecki dumping w eksporcie; żądanie ochrony francuskiego przemysłu; zahamowanie liberalizacji handlu; odtworzenie przedwojennych karteli; być może ukierunkowanie niemieckiej ekspansji na Wschód; preludium do umów politycznych; Francja wpada w stare koleiny ograniczonej i chronionej produkcji”<sup>1</sup>.

Ryzyko wojny nie było wówczas wykluczone, gdyż historia szeroko udowodniła wagę, jaką Francja i Niemcy przywiązywały do kontrolowania obszarów dostarczających węgla i stali, podzielonych między te dwa państwa historycznymi granicami. Wówczas to, w okresie od 16 kwietnia do 9 maja 1950 roku, mała grupka osób wypracowała to, czym będzie CECA. Wstęp do tekstu, zredagowany przez Jeana Monneta, jest modelowy: „Europa musi być zorganizowana na zasadach federacji; unia francusko-niemiecka jest jej podstawowym elementem, a rząd francuski zdecydowany jest podjąć ten wysiłek... Nagromadzone przeszkody uniemożliwiają natychmiastową realizację tego stowarzyszenia, które rząd francuski wyznacza sobie za cel. Ale już od teraz ustanowienie wspólnych podstaw rozwoju gospodarczego musi być pierwszym etapem unii francusko-niemieckiej. Rząd francuski proponuje umieszczenie całej francusko-niemieckiej produkcji węgla i stali pod zarządem międzynarodowym otwartym na udział innych krajów Europy. Jego zadaniem byłoby ujednoczenie podstawowych warunków produkcji i umożliwienie w ten sposób stopniowego rozszerzania na inne dziedziny rzeczywistej współpracy w celach pokojowych”. Dodajmy do tego fragment podkreślony w tekście: „Poprzez połączenie podstawowych działów produkcji i ustanowienie nowego Wysokiego Zarządu, którego decyzje zwiążą Francję, Niemcy, i kraje, które ją zaakceptują, propozycja ta stworzy pierwsze konkretne podwaliny europejskiej federacji, niezbędnej dla zachowania pokoju”. A w swych *Pamiętnikach* (s. 353) Monnet komentuje: „Całość (projektu gospodarczego) sprawiała wrażenie silnej organizacji, a zarazem liberalnej, jeśli chodzi o cele; nie było tu sprzeczności: stopniowo wyłonią się warunki zapewniające samorzutnie najbardziej racjonalny podział produkcji na najwyższym poziomie wydajności”.

W tych tekstach powiedziano już wszystko o metodzie i celach,

1 Jean Monnet, *Mémoires*, s. 346 n.

które legły u podstaw budowania nowej Europy. Chodzi o państwa suwerenne i rywalizujące. Należy ustalić punkty, których ma dotyczyć rywalizacja; następnie związać te państwa takimi mechanizmami, które zmuszą je do współkontrolowania konfliktu poprzez połączenie zasobów będących stawką w tym konflikcie i poprzez delegowanie swej suwerenności, aby osiągnąć wyższe dobro, wspólne dwóm narodom. Należy wreszcie ustalić procesy przejściowe, zmierzające do sytuacji, w której osiągnie się pewne optimum gospodarcze, takie, że wspólna produkcja będzie odbywała się przy możliwie najlepszym wykorzystaniu zasobów. A wszystko to po to, aby stworzyć warunki niezbędne dla zachowania pokoju.

Jesteśmy tu bardzo daleko od zwykłej współpracy międzyrządowej, gdzie każde państwo może w każdym momencie powiedzieć: nie; systemu, na którym była zresztą wówczas oparta Organizacja Europejskiej Współpracy Gospodarczej, bezsilna wobec takiego weta. Mamy tutaj do czynienia z czymś w rodzaju majątkowej wspólnoty małżeńskiej, z „fuzją suwerenności”, albowiem warunki pokoju są akceptowane na dobre i na złe, w nadziei, że Wspólnota zdoła osiągnąć lepsze rezultaty niż proste zsumowanie wyników indywidualnych.

W tekście końcowym preambuły Traktatu CECA pojawia się od razu zasadnicza logika budowania Europy. Chodzi o stworzenie najpierw „solidarności faktycznych” przez „połączenie podstawowych interesów” państw członkowskich, ale główny cel jest polityczny: dobrobyt i pokój w „odtąd wspólnej przyszłości”. I właśnie wychodząc od tej motywacji politycznej, rozproszono (najpierw uczynił to Robert Schuman, a następnie Konrad Adenauer) wątpliwości odpowiedzialnych za techniczną stronę przedsięwzięcia.

b) *Europejska Wspólnota Gospodarcza*: „Najpierw należy kontynuować, a następnie zacząć” Dokładnie w ten sam sposób, pragmatyczny, a jednocześnie ambitny, zostały wypracowane teksty Traktatu Rzymskiego i Układu EURATOM. Odnajdujemy w nich główne tematy, które legły u podstaw wypracowania traktatu CECA: ustalenie wspólnych celów gospodarczych (nie zaś kompromisów pomiędzy narodowymi wymaganiami, które pozostałyby nienaruszone); stworzenie niezależnych instytucji mających nad tym czuwać (Komisja i Trybunał Sprawiedliwości); proklamowanie jako ostatecznego celu swobodnego przepływu dóbr, usług, kapitałów, a wreszcie ludzi w obszarze mającym być docelowo doskonale zjednoczonym, aby nie można już było mówić o produkcji francuskiej, niemieckiej czy holenderskiej.

lecz o produktach europejskich; wyznaczenie unii politycznej jako ostatecznego celu.

Cztery elementy Traktatu Rzymskiego zasługują w tym względzie na podkreślenie.

— Po pierwsze, z instytucjonalnego i politycznego punktu widzenia, urzeczywistnia on niezwykłą równowagę pomiędzy wyrażeniem interesów narodowych i stwierdzeniem interesów wspólnotowych. Interes pretendujący do miana „wspólnego”, który przeczyłby istnieniu żywotnych interesów narodowych, nie miałby żadnej szansy narzucenia się, chyba że drogą konfliktu — czego należało właśnie uniknąć; z drugiej strony, nie może on sprowadzać się do zwykłego zestawienia interesów narodowych, często sprzecznych. Chodzi więc o znalezienie środka integracji interesów narodowych we wspólnym dążeniu, które wykracza poza te interesy, zachowując je jednocześnie lub nawet otwierając przed nimi perspektywy, jakich nie mogłyby nigdy osiągnąć na gruncie narodowym. W ten sposób została wymyślona organizacja władz w łonie Wspólnoty: niezależnej Komisji przypadła rola „strażniczki Traktatu”, posiadanie monopolu na propozycje oraz kilka innych prerogatyw zapewniających poszanowanie prawa powszechnego, zwłaszcza jeśli chodzi o przestrzeganie reguł lojalnej konkurencji pomiędzy państwami (surowe przepisy dotyczące pomocy państwa, porozumień, nadużycia dominującej pozycji); Radzie Ministrów — troska o poszukiwanie, na bazie propozycji Komisji, równowagi pomiędzy interesami narodowymi, których zasadność jest tym samym uznana, a wspólnym celem, którego ważność jest rozpatrywana, a potem zatwierdzana przez przedstawicieli państw członkowskich; Parlamentowi Europejskiemu — rola gwaranta zgodności z prawem podjętych decyzji dotyczących ludności i politycznych sił narodów.

— Po drugie, należy przestrzegać oryginalności stosowanej metody, aby dojść do systematycznego zbliżenia suwerenności. Generał de Gaulle podkreślił na konferencji prasowej, że nigdy w historii nie było federacji bez „federującego”, dodając, że skoro go nie ma, Europa nie będzie miała żadnej polityki i zacznie „zależać od kogoś z zewnątrz, kto będzie ją posiadał”. Powróćmy jeszcze do tej rzeczywiście centralnej kwestii jedności decyzji we Wspólnocie; tym, co możemy od razu zauważyć, jest fakt, że Traktat Rzymski wpisuje się w pragmatyczną „logikę” obcą rozumowaniu Generała<sup>2</sup>.

<sup>2</sup> Replika Monneta na taką „filozofię” była bardzo prosta: zamyka się ona w kilku wierszach komunikatu opublikowanego przez Komitet na Rzecz Przyszłości Europy: „Perspektywy, które otwierają się dziś przed

Gdy tylko zostanie wspólnie określony cel, nieważne są rozwiązania prowadzące do jego wspólnego osiągnięcia, włącznie z okresami przejściowymi wynegocjowanymi z myślą o zgodzie stron w duchu wzajemnego poszanowania interesów. Jest rzeczą godną zauważenia, że nigdy w całej swej działalności Jean Monnet nie wyobrażał sobie, iż jedność polityczna Europy zrodzi się naturalnie, jak gdyby mechanicznie, z tej tkanki konkretnych solidarności, które starał się ciągle promować. Ale wydawało mu się, że wspólne sprawowanie najwyższej władzy nad określonymi dziedzinami, wzrost wymiany, doskonałe poinformowanie każdego państwa o sytuacji wszystkich pozostałych, stały, zinstytucjonalizowany wysiłek państw, aby znaleźć naprawdę wspólne rozwiązania, mogą stworzyć warunki niezbędne do uświadomienia sobie „wspólnoty losów”, koniecznego z kolei do urzeczywistnienia prawdziwej jedności politycznej. Specyfika Traktatu Rzymskiego objawia się zwłaszcza w tym, że jest on zawarty na okres nieokreślony (art. 240), co podkreśla jeszcze nieodwołalny charakter skonkretyzowanej w nim decyzji o zjednoczeniu.

— Należy zaakcentować, po trzecie, jakie miejsce zajmuje gospodarka w rozumowaniu założycieli Wspólnoty. Traktat mówi o wspólnej polityce handlowej, o rolnictwie, inwestycjach, usługach, kapitałach, prawie do osiedlania się, wolnym przepływie pracowników. Ale należy zastanowić się, dlaczego?

Nie zapominajmy, że pierwsza próba Jeana Monneta promowania wspólnego działania dwóch narodów była usytuowana w kontekście politycznym i militarnym: chodziło o propozycję adresowaną do rządów francuskiego i angielskiego, pod presją inwazji hitlerowskiej, by połączyły swe wysiłki pod wspólnym rządem, wspólnym dowództwem i wspólnym parlamentem<sup>3</sup>. Bardzo niewiele brakowało, by próba ta się powiodła, ale nauką, jaką wyciągneli z niej wszyscy ci, którzy byli poinformowani o tej inicjatywie, było niepodważalne przekonanie o wyższości, jaką miałyby prawdziwe zjednoczenie sił nad systemem zwykłych konsultacji międzyrządowych.

Europą, zostały umożliwione przez fakt, że kraje Europy zgodziły się na traktowanie swych problemów gospodarczych nie jako problemy narodowe lecz jako problemy wspólne. Aby rozwiązać te problemy, przyjęły nową metodę wspólnotowego działania. Po okresie poszukiwań, metoda ta polega na stałym dialogu pomiędzy europejskim organem zobowiązanym do proponowania rozwiązań dla wspólnych problemów oraz rządami krajowymi, które wyrażają narodowe punkty widzenia... Właśnie ta metoda jest prawdziwym „federatorem” Europy (*Mémoires*, s. 517).

<sup>3</sup> „Zmarnowana okazja” tej niedzieli 16 czerwca 1940 roku została opisana w jego pamiętnikach (*Mémoires*, s. 24—35).



Skąd więc ta „ekonomistyczna” wizja Traktatu Rzymskiego? Po prostu stąd, że odpowiadała ona nakazowi chwili. Prawdziwe zagrożenia polityczne miały już wówczas swe korzenie w ostrości czekających na rozwiązanie problemów gospodarczych: zaopatrzenia rolniczego i żywnościowego, konkurencji pomiędzy metalurgiami francuską i niemiecką, nieracjonalnych sposobów finansowania gospodarek. Wszystko to szło w parze z ciągłą pokusą zamykania się w sobie i wojowniczego oporu wobec wszelkich hegemonii. Jedną z oryginalnych cech Traktatu Rzymskiego był fakt, że zastępował on strategią integracji sił dla wspólnego celu — tradycje negocjacji międzyrządowych, których niewystarczalność wykazała niedawna historia, zwłaszcza gdy jedno z państw miało ze względu na swą potęgę możliwość narzucenia swych opinii pod stałą groźbą konfliktów.

Ale, w sposób bardzo wyraźny, tekst Traktatu Rzymskiego nie ogranicza do sfery gospodarczej zobowiązania, przyjętego przez państwa członkowskie, do poszukiwania wspólnych rozwiązań powstających między nimi problemów. Jednym z przykładów, który można tu zacytować jest „stowarzyszenie” z krajami i obszarami zamorskimi, przekształcające w posiadłości wspólnotowe to, co dotychczas, poprzez system kolonizacji i protektoratów, było „prywatnym terenem łowów” (o charakterze wysoce politycznym i symbolicznym) suwerennych państw.

I tak pierwsze zdanie preambuły informuje o zdecydowanej woli państw sygnatariuszy „ustanowienia podstaw coraz bardziej ścisłego związku pomiędzy europejskimi narodami”, który może przybrać postać wspólnej polityki we wszystkich dziedzinach, nawet tych nie przewidzianych w Traktacie ” (art. 235).

— Wreszcie, zaistniała od razu kwestia stosunków z krajami trzecimi. Czyż chodziło o to, by przez proste zastosowanie zasady, według której siła tkwi w jedności, dojść do tego, by państwa europejskie zjednoczyły się, stając się cytadelą izolacjonistyczną, odciętą od reszty świata i mnożącą przeszkody wobec partnerów? Tu także myśl założycieli, ale również — o czym często się zapomina — ich ówczesnych interlokutorów, jest całkowicie przeciwna w stosunku do tej protekcjonistycznej tezy.

Przypomnijmy w tym względzie znamienity list prezydenta Kennedy’ego do Jeana Monneta, napisany w dniu, w którym została wręczona temu ostatniemu „nagroda wolności”: „Od wojny, odbudowa i zjednoczenie Europy były bezustannie celem polityki Stanów Zjednoczonych, albowiem uznaliśmy wraz z wami, że siła tkwi w jedności. Uznaliśmy także z wami, że silna Europa nie jest jedynie dobrą rzeczą dla Europejczyków; jest ona także dobra dla świata. Ameryka i zjednoczona Europa,

współpracujące w pełni skutecznie w ramach stosunków pomiędzy równymi partnerami, mogą znaleźć rozwiązania dla pilnych problemów, jakie napotyka ludzkość w tym decydującym okresie”

Ta początkowa wizja jest bardzo trafna. Zgodnie z nią, stosunki równości i partnerstwa, niemożliwe pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i podzielonymi państwami Europy, stały się zupełnie możliwe i prawdopodobnie owocne pomiędzy zjednoczoną Europą mówiącą jednym głosem i Ameryką szczęśliwą, że może teraz dzielić z kimś odpowiedzialność za świat, którą dotychczas musiała dźwigać sama.

Każde przedsięwzięcie w ramach wielkich negocjacji handlowych, zapoczątkowanych w 1962 roku pod nazwą „Kennedy Round”, odbywało się w tym duchu; znaczące jest w tym względzie, że cel zaproponowany przez Kennedy’ego Kongresowi, gdy przedstawił mu „Trade Expansion Act” w roku 1962, polegał wyraźnie na utworzeniu „otwartego stowarzyszenia handlowego pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Wspólnotą Europejską”. Prezydent Stanów Zjednoczonych otrzymał szerokie pełnomocnictwa do negocjowania zrównoważonych redukcji celnych. Tu także gospodarka i handel zajmują szczególnie miejsce; tu również są one jedynie punktem zakotwiczenia silniejszych solidarności, mających rozwinąć się na innych płaszczyznach w miarę upływu czasu oraz osiągniętych i utrwalanych sukcesów.

## 2. Polityczne ambicje gospodarczej Europy

Powrót do zasad wspólnot europejskich pozwala ogarnąć bliżej cele polityczne i moralne, jakie wyznaczyli im z góry ich pionierzy, a które potwierdza sam tekst traktatów założycielskich. „Europejskie rozumowanie” przebiega w istocie systematycznie na dwóch płaszczyznach: pierwszej — czysto gospodarczej i drugiej — politycznej i moralnej<sup>4</sup>.

a) *Dobrobyt, liberalizm, wolność*. Podkreśla się słusznie, ciesząc się nim lub ubolewając nad nim, „liberalny charakter” Traktatu Rzymskiego. Jest tu mowa o liberalizmie gospodarczym czyli o doktrynie, zgodnie z którą dobrobyt zwiększa się przez zwielokrotnienie wymiany międzynarodowej, zniesienie wszel-

<sup>4</sup> Podczas swej słynnej konferencji prasowej z 15 maja 1962 roku, generał de Gaulle dopuścił zresztą istnienie tego problemu: „Nie sposób podjąć jakąkolwiek ważną decyzję gospodarczą, nie dokonując aktu politycznego: uprawia się politykę, gdy operuje się wspólnie cłami, gdy robi się tak, by zarobki i obciążenia były takie same w sześciu państwach (...)”.

kiego rodzaju barier i przeszkód, promowanie inicjatywy i swobody przedsięwzięć, kosztem planowania państwowego.

Uwagi te są całkowicie uzasadnione. Prawdą jest, że gospodarze przekonania redaktorów tekstu Traktatu Rzymskiego sprowadzały się do tego, iż czuli się zobowiązani do „zagwarantowania przez wspólne działania gospodarczego postępu ich krajów poprzez wyeliminowanie barier dzielących Europę” (motyw drugi preambuły Traktatu) i do „przyczynienia się, dzięki wspólnej polityce handlowej, do stopniowego zniesienia restrykcji w wymianie międzynarodowej” (motyw szósty preambuły).

Liberalizmowi temu towarzyszy jednak duża liczba uwag, które doprowadziły do swoistego zniuansowania jego zakresu. Nie chodzi o nieograniczone zaufanie do „niewidzialnej ręki” mającej regulować w sposób optymalny wolną grę praw rynku, ani też o stworzenie systemu, w którym byłaby zwykłym i prostym ustanowieniem prawa silniejszego, obnażonego przez Marksa przy pomocy słynnego sformułowania: „Wolny lis w wolnym kurniku”. Wśród celów do osiągnięcia znajdują się również „stabilność w ekspansji”, „równowaga w wymianie”, „lojalność w konkurencji” oraz „harmonijny rozwój gospodarki”

Co się tyczy tego ostatniego, troska o „równowagę gospodarczą i społeczną” jest obecna w Traktacie Rzymskim tam, gdzie jest mowa o poprawie warunków życia i pracy. Troska ta została jeszcze pogłębiona w Akcie Europejskim, który poświęca specjalny tytuł „spójności gospodarczej i społecznej”, ustanawiając na przykład mechanizmy mające na celu „zmniejszenie różnic pomiędzy stopniem rozwoju poszczególnych regionów i opóźnienia regionów najslabiej rozwiniętych”

Czysta teza liberalna polegałaby tu na założeniu, że słabo rozwinięte regiony Wspólnoty (Hiszpania, Portugalia, Grecja, Irlandia, Mezzogiorno) powinny — dla zniwelowania różnic — móc zaoferować swe porównywalne zalety (małe nakłady na zarobki, wysoka rentowność inwestycji), by w pełni skorzystać z otwarcia bardziej rozwiniętych rynków Europy północnej. Rozumowanie to okazało się niewystarczające: „strefy upośledzone” mają w istocie, po dokładniejszym zbadaniu, pewne wady strukturalne (nieprawidłowości w szkoleniu zawodowym, niewystarczalna infrastruktura), które mogą hamować ich rozwój i którym należy zaradzić przez pozytywne działania korygujące na wielką skalę. Koszt tych działań uzgodnionych w lutym 1988 r. w Radzie Europejskiej w Brukseli, który wyniósł w latach 1989—1990 aż 38,3 miliardów ECU (czyli około 268 miliardów franków) jedynie dla tych stref, jest wiele mówiącym wskaźnikiem wagi,

jaką Wspólnota przywiązuje do tej kwestii<sup>5</sup>. Podobnie polityka rolna dopuszcza, by wolna wymiana była łagodzona przez specjalne traktowanie drobnych producentów i stref upośledzonych, oraz toleruje czasem długotrwałe okresy przejściowe, aby doprowadzić do harmonijnego przejścia od systemu chronionego do systemu „otwartego”.

Liberalizm wymaga także organizacji rynku, co jest zadaniem władzy państwowej, której niezbędność uznaje Traktat oraz postanowienia Trybunału Sprawiedliwości. I tak swoboda świadczenia usług — która zmierza do tego, by świadczący usługi mógł działać w każdym państwie członkowskim, bez konieczności zamieszkiwania tam na stałe — nie oznacza przyzwolenia na to, by spółki, które z tego korzystają, czyniły to wbrew regułom gwarantującym ochronę konsumentów.

Krótko mówiąc, w pracach Komisji i w decyzjach Rady widoczna jest troska o równowagę, o postęp, o solidarność wspólnotową, o harmonizację minimalnych reguł niezbędnych do organizacji rynku we wszystkich dziedzinach.

Troska o sprawy gospodarcze jest łatwa do uchwycenia: chodzi o kierowanie — co muszą czynić wszystkie rządy — zawsze nietrwałą równowagą pomiędzy niezbędnym przystosowaniem gospodarek i niedogodnościami, jakie z tego wynikają, zwłaszcza w płaszczyźnie społecznej, w przypadku niezbędnych przekształceń. Problemy metalurgii w latach osiemdziesiątych szeroko ukazały, że przekształcenia takie mogą być bolesne.

Troska o sprawy polityczne jest równie oczywista: gra „wspólnotowa”, w której byłyby państwa wygrywające na wszystkich frontach i państwa systematycznie przegrywające, skończyłaby się strategią przewróconego stolika; nie byłoby już żadnej gry, co nie leży w interesie ani jednych ani drugich. Zresztą, taka sytuacja nie byłaby wyobrażalna dla większości państw członkowskich, a zmierzające w tym kierunku propozycje nie zostałyby nigdy przyjęte przez Radę Ministrów.

W tym wszystkim tkwi niezaprzeczalnie troska moralna, która polega na fakcie, że rządzący uznają za cel jednocześnie dobrobyt swych narodów, harmonijny podział tego dobrobytu oraz stwo-

<sup>5</sup> Temat ten wymagałby oddzielnej pracy. Przypomnijmy jedynie, że wiele federacji zna ten rodzaj transferu pomiędzy regionami bogatymi i biednymi, czy to chodzi na przykład o Niemcy (istnienie podatku od wartości dodanej pomiędzy landami) czy o Kanadę (bezpośredni transfer z budżetu federalnego, który może być przyznany, lub też nie, na realizację projektów rozwojowych). W państwie jednolitym transfery takie odbywają się za pośrednictwem budżetu państwa, zwłaszcza w ramach przestrzennego zagospodarowania kraju.

rzenie systemu korygującego niedogodności, które mogą wypływać z niezbędnych reform. Wolność przedsięwzięć prowadzi w konsekwencji do wolności poglądów tych, którzy mogliby uważać się za „pozostawionych na lodzie”; „mali” i „biedni”, niezależnie od tego, czy chodzi o osoby, czy też o państwa, muszą być brani pod uwagę i wspomagani, pod groźbą rozpadu tkanki społecznej. Poza tym wszystkim jest rzeczą jasną, że wielkie zasady demokratyczne, a nawet czysto humanitarne, zajmują miejsce równie centralne jak zasady gospodarcze, nadając całości, która się stopniowo zarysowuje, charakter zarazem spójny, ludzki i kruchy z powodu trudności w stałym utrzymaniu takiej równowagi.

b) Regionalna potęga w centrum światowych konfliktów. Tej samej równowagi poszukuje się w stosowaniu dialektyki, zgodnie z którą Europa zmierza do ukonstytuowania się jako potęga, nie stanowiąc bynajmniej z tego powodu zagrożenia dla ładu światowego. Dążenie do potęgi zwielokrotnionej w porównaniu ze zwykłą sumą indywidualnych potęg państw członkowskich jest niepodważalnie jedną z przyczyn przyłączenia się rządów do budowania Europy. Chodzi tu rzeczywiście o cel polityczny w najbardziej bezpośrednim tego słowa znaczeniu, gdyż zdobycie siły jest w świecie stosunków międzynarodowych istotnym elementem ambicji każdego normalnie ukonstytuowanego rządu.

Jest na przykład rzeczą jasną, że jednym z celów, jaki wyznacza sobie obecnie negocjowany projekt unii gospodarczej i walutowej, jest stworzenie potężnego, stałego i przyciągającego „bieguna walutowego”, który sprawiłby, że głos Europy dotarłby do dwóch pozostałych światowych biegunów walutowych, jakimi są dolar i jen.

Był czas dolara-króla, kiedy Stany Zjednoczone mogły pozwolić sobie na jednostronne żonglowanie swą walutą, na niemal nieograniczone zadłużanie się w dolarach, po prostu dlatego, że cały świat kupował dolary, powszechnie uznaną walutę rozliczeniową. Wzrost potęgi Japonii sprawił, że pojawił się coraz bardziej poszukiwany konkurent w stosunku do dolara USA. Finansiści i banki centralne stopniowo zgłaszały coraz większe zapotrzebowanie na jeny, jako walutę rezerwową, a nawet walutę rozliczeniową. Równolegle marka zdobyła odpowiednie miejsce na rynkach światowych i w rezerwach banków centralnych. Jest rzeczą oczywistą, że jeśli się uda stworzyć instrument walutowy, reprezentatywny dla najlepiej prosperującej części świata, pozycja negocjacyjna Wspólnoty stanie się tym samym nieskończenie silniejsza. Zwłaszcza jej dwaj wielcy konkurenci będą

musieli pomyśleć o ewentualności rynkowego arbitrażu waluty europejskiej, kosztem ich własnych walut, co zmusiłoby ich do reform gospodarczych, które negocjują obecnie w trybie niemal wyłącznie bilateralnym.

To dążenie do „potęgi” jest najważniejszą daną europejskiej przygody. Polityka walutowa odpowiada pragnieniu wyzwolenia się od hegemonii wielkich walut światowych; polityka rolna została zbudowana, obok innych celów, dla „zapewnienia bezpieczeństwa zaopatrzeniowego”, co świadczy o chęci niezależności. Z drugiej strony pomoc finansowa, która została jej na początku zapewniona, i która pozwoliła na znaczne zwiększenie wydajności oraz ogromny wzrost produkcji, czyni obecnie z Europy jednego z największych eksporterów światowych i pełnego wdzięczności interlokutora Stanów Zjednoczonych. Ustanowienie wspólnych programów podstawowych badań naukowych, mogących znaleźć zastosowanie w sferze przemysłowej, obecnie dyskutowana propozycja dotycząca poparcia dla wspólnotowej produkcji w dziedzinie audio-wizualnej, oto zaledwie kilka przykładów owego dążenia do nowego zamanifestowania obecności odtąd wspólnej i powszechnie uznanej za bardziej płodną niż ściśle narodowe aspiracje <sup>6</sup>.

Pytanie, które się teraz rodzi, jest proste: Czy chodzi o zwykłe roszczenia regionalizmu, który pełniłby rolę przymierza zabezpieczającego, a nawet agresywnego w stosunku do naszych światowych partnerów, czy też o coś innego? Kwestia ta nie jest rozstrzygnięta i nie może zresztą nią być, zważywszy, że *modus vivendi*, do którego zobowiązały się państwa członkowskie między sobą pod nadzorem instytucji, jakie same powołały, nie stosuje

<sup>6</sup> W *Paix et Guerre entre les Nations*, Raymond Aron podtrzymuje tezę, która usprawiedliwia ten wysiłek na rzecz odzyskania dawnej potęgi, zauważając, że państwa europejskie, zbyt bogate, aby być lekceważone przez hegemonistyczne bloki, ale jednak zbyt słabe, aby móc się im oprzeć, są pierwszymi podmiotami dążenia do dominacji. Aron dokonuje analizy strategicznej i militarnej tego problemu: „Państwa-liliputy nie są podmiotami «wielkiej polityki»; natomiast państwa europejskie będą stale tymi podmiotami, gdyż są bogate i potencjalnie silne. Nie decydują się na rezygnację i ucieczkę w neutralność; wahają się przed stworzeniem ponadnarodowej całości, jedynej, która dostąpiłaby pełnej autonomii. Oscylując pomiędzy tęsknotą za wielkością, pokusą niezaangażowania i chęcią ponadnarodowej integracji, byli wielcy Europy nie posiadają zasobów niezbędnych, by stać się pierwszoplanowymi, ale posiadają zbyt duże zasoby, by znaleźć bezpieczeństwo w rezygnacji. Wyścig zbrojeń wywrze prawdopodobnie decydujący wpływ na status tych państw, zbyt małych na to, co mają wielkiego, i zbyt dużych na to, co mają małe”. Wystarczy zamienić „wyścig zbrojeń” na „światową wojnę gospodarczą”, by móc zastosować tę tezę do gospodarki i do polityki.

się bynajmniej do powiązań Europy z resztą świata — dziedziny, gdzie istnieją oczywiście traktaty, ale z o wiele słabszymi środkami przymusu. Wewnątrz europejska próba zastąpienia stosunków międzynarodowych ładem prawnym nie odnosi się do stosunków międzynarodowych pozaeuropejskich, które pozostają, cokolwiek by się powiedziało, bardzo wrażliwe na układy sił.

Można oczywiście marzyć o „światowym państwie prawa”. Istnieją naturalnie światowe traktaty międzynarodowe. Ale w odróżnieniu od traktatów wspólnotowych, państwa, które są ich stronami, mogą swobodnie się z nich wycofać; środki przymusu, jakim podlegają, są słabe i czasami są stosowane — tak jak w przypadku Układu Ogólnego w Sprawie Ceł i Handlu (GATT) — jedynie za zgodą krajów lub grup gospodarczych, będących ich przedmiotami. Jesteśmy tu bardzo daleko od ambicji wspólnotowych, których ducha właśnie opisaliśmy.

A więc czy chodzi jedynie o budowę regionalizmu silnego z gospodarczego punktu widzenia, którego jedynym celem byłoby zwiększenie władzy nad innymi częściami świata? W obliczu takich krytyk Europa powołuje się na dobre intencje swych założycieli i swej praktyki; podkreśla, że jest najbardziej otwartym ugrupowaniem gospodarczym na świecie<sup>7</sup>, że nawet w dziedzinie rolnictwa — gdzie jest często posądzana o protekcjonizm — jest ona pierwszym światowym importerem produktów rolnych (22% importu światowego, podczas gdy Stany Zjednoczone, Japonia i ZSRR — 10%).

Pozostaje tym niemniej faktem, że jeden rynek europejski byłby pierwszym zintegrowanym rynkiem świata z 324 milionami mieszkańców, dochodem wewnętrznym brutto (PIB) mniej więcej równym dochodowi Stanów Zjednoczonych, bankami i rynkami finansowymi, zaliczającymi się do najważniejszych w świecie, przedsiębiorstwami przemysłowymi zaangażowanymi, zwłaszcza w ciągu ostatnich pięciu lat, w bardzo duży wysiłek inwestycyjny, poparty stałym i regularnym wzrostem. Nasi tradycyjni partnerzy wykazują nieufność właśnie w obliczu pojawienia się tego nowego giganta, nie wierząc, by siła mogła iść w parze ze sprawiedliwością...

<sup>7</sup> „Import EWG stanowi 9,6% jej dochodu narodowego brutto (9,5% w Stanach Zjednoczonych i 5,7% w Japonii). Cyfra ta podważa w oczywisty sposób oskarżenie, że Europa jest twierdzą” (Michel Develle, 1992: *l’Odyssée de l’Europe, Futuribles*, marzec 1990). Artykuł stanowi doskonałe podsumowanie tego, czym może się stać zintegrowana potęga europejska.

## II. ROZWÓJ I GRANICE EUROPEJSKIEGO SPOSOBU MYŚLENIA

Śledząc intencje założycieli i cel europejskiego wysiłku, mogliśmy zauważyć logikę przedsięwzięć, które doprowadziły do zjednoczenia europejskiej Dwunastki. Pozostaje tylko się przekonać, czy logika ta jest sama w sobie realna, czy ma szanse powodzenia i czy powodzenie to może przyczynić się do ustanowienia sprawiedliwego ładu w świecie. Kwestie te wymagają wyjścia z porządku logicznego i pojęciowego, aby ocenić w sposób realistyczny atuty i wady analizowanego zamierzenia.

### 1. Ryzyko nacjonalizmu i atut narodowości

Przekonaaliśmy się już poprzednio, że europejskie układy w swej pierwotnej fazie mogą być traktowane — zwłaszcza w kontekście przewycięzania konfliktu francusko-niemieckiego — jako mądrze pomyślane substytuty traktatów pokojowych. Ale podkreśliliśmy również, że głosząc docelowo niezbedność unii politycznej, nie zaś zwykłej współpracy, posuwały się one jeszcze dalej w federacyjnym zamyśle nowego typu.

Jedno z głównych ograniczeń europejskiego sposobu myślenia tkwi właśnie w tym, jaki sens nadać określeniu „polityczny”, skoro to, co uważamy za sferę polityki, jest jeszcze (lub nawet ze swej istoty) bardzo związane z narodowościami?

a) Niezbędna równowaga jest już trudna do utrzymania nawet w sferze gospodarki. Problemy, które pojawiły się od razu w urzeczywistnieniu Europy gospodarczej lat sześćdziesiątych, pojawiają się codziennie i są coraz większe w miarę, jak wyraźniej zarysowuje się cel, jakim jest stworzenie rynku bez granic. Szybko zdano sobie sprawę, że rządóm było stosunkowo łatwo znieść opłaty celne pomiędzy państwami członkowskimi — co zostało dokonane nawet prędzej niż przewidywali negocjatorzy Traktatu Rzymskiego — gdyż gospodarki państw członkowskich były jeszcze od siebie oddzielone, dzięki czemu interesy narodowe mogły w dalszym ciągu egzystować wbrew partnerom. Typowym przykładem jest normalizacja techniczna, która pozwala niekiedy rozwiązać obiektywny problem (zdrowie, bezpieczeństwo, ochrona konsumentów), ale częściej skłania konsumentów do kupowania produktów krajowych, zakazując sprzedaży produktów importowanych, nie odpowiadających normom krajowym. W wyniku aktu europejskiego przedsięwzięto więc poważny wysiłek na rzecz promocji tego, co się nazywa „wzajemnym uznaniem norm”, i co umożliwia wolny przepływ towarów w przypadku, gdy normy



nie są uważane za najbardziej istotne. Trzeba jeszcze tylko wiedzieć, co uważa się za najbardziej istotne. Otóż, dochodzi do licznych starć pomiędzy fanatykami ochrony środowiska i tymi, którzy dopuszczają jego mniej rygorystyczną ochronę; pomiędzy tymi, którzy wierzą w „markę zastrzeżoną”, i tymi, którzy w nią nie wierzą; pomiędzy tymi, którzy pragną rynku finansowego, zorganizowanego w kontrolowane giełdy, i tymi, którzy woleliby pozwolić działać „prawom rynku”...

Przedstawmy szczegóły tej sprzeczności, biorąc jako przykład rynki państwowe. Wiadomo ogólnie, że zarezerwowanie rynków państwowych dla producentów krajowych kosztuje drogo państwa i społeczności lokalne. Ale otwarcie tych rynków dla konkurencji wspólnotowej nie jest przyjemne ani dla przedsiębiorstw krajowych i lokalnych — które tracą dochód i wysuwają argumenty takie, jak groźba zwiększonego bezrobocia — ani dla państw i społeczności lokalnych, które zyskując finansowo, tracą możliwość wywierania presji na przedsiębiorstwa, których dostęp do rynków zbytu zależał do tej pory od ich decyzji. Europa zrobiła jednakże postępy, otwierając — co prawda bardzo stopniowo i selektywnie — rynki krajowe w przekonaniu, że te bariery nie mogą się utrzymać, bo groziłyby niebezpieczeństwem nie-łojalnej konkurencji. Udało się to jej osiągnąć.

Można by cytować bez końca przykłady negocjacji będących połączeniem rozważań technicznych, czasami ważnych i zasługujących na dyskusję, i prób zachowania tego, co możliwe ze ściśle narodowych interesów. I to w dziedzinie gospodarki, gdzie można najłatwiej wykazać ogólne znaczenie, jakie ma wolna gra konkurencji (jeśli tylko jest ona lojalna), i wielkie ryzyko, jakie protekcjonizm stanowi dla rozwoju na dłuższą metę działalności przemysłowej i handlowej.

Dlaczego tak jest? Ponieważ nawet w tej dziedzinie rozumowanie teoretyczne musi podporządkować się wymogom polityki i ponieważ ściśle zastosowanie, w tym czy innym sektorze, żelaznego prawa wewnątrzspółnotowej konkurencji jest nie zawsze możliwe, przynajmniej nie od razu.

W tej dziedzinie można wyjść z pozornej sprzeczności, przyjmując mechanizmy wyrównujące lub okresy przejściowe dłuższe lub krótsze, aby dać rządowi do dyspozycji czas niezbędny do dokonania restrukturyzacji odnośnych sektorów i ich przystosowania do konkurencji wewnątrzspółnotowej bez istotnych ustępstw. Ale kwestia ta jest o wiele trudniejsza, gdy wyjdzie się poza dziedzinę gospodarki.

b) Sfera społeczna i narodowa spójność. Jeśli nie ograniczymy

się do wizji Europy jako doskonałej unii celnej, zetkniemy się z o wiele poważniejszą kwestią spójności suwerennych obecnie państw.

Załóżmy doskonałą konkurencję pomiędzy państwami Wspólnoty. Cóż będzie się działo w płaszczyźnie społecznej? Liberalna teoria mówi, że działalność gospodarcza powinna przenieść się w miejsca, gdzie produkcja jest najbardziej opłacalna, co oznacza, że gałęzie przemysłu wymagające najwięcej siły roboczej powinny rozwijać się tam, gdzie koszt globalny siły roboczej (włącznie z kosztami społecznymi) jest najmniejszy, oczywiście jeśli znajdują tam infrastrukturę niezbędną do rozwoju swej działalności. Najbardziej uprzywilejowane państwa mogłyby wówczas wybrać jedną z następujących strategii: zastąpić działalność polegającą na wykorzystaniu siły roboczej działalnością o wysokiej wartości dodanej (badania, najnowocześniejsze gałęzie przemysłu, usługi), która wymaga wysoko wykwalifikowanych pracowników i oprawy o bardzo wysokim poziomie z punktu widzenia naukowego i kulturowego (strategia, której wdrożenie trwałoby długo i która pociągnęłaby nieodwołalnie pojawienie się pewnego bezrobocia); dopuścić do bezrobocia, pozwalając działać prywatnej inicjatywie; starać się ograniczyć obciążenie, jakim są dla przedsiębiorstw wynagrodzenia i składki ubezpieczenia społecznego. Widzimy, że we wszystkich tych przypadkach istnieje pewne niebezpieczeństwo zagrażające spójności społecznej państw rozwiniętych, które źle znoszą konkurencję niskich płac, oraz państw mniej uprzywilejowanych, których ludność zastanawia się, na co czekają rządy, dlaczego nie podnoszą poziomu jej życia do poziomu innych Europejczyków. I tak, podczas gdy rządy hiszpański i portugalski stawiają czoła temu drugiemu problemowi, związki zawodowe Europy Północnej ujawniają niebezpieczeństwo „społecznego dumpingu”, jakie z powodu Wielkiego Rynku grozi interesom pracowniczym.

Takiego problemu nie rozwiązuje się przy pomocy wielkich, szlachetnych lub moralnych idei. Podważa on bowiem bezpośrednio narodowe autonomie polityczne. Komisja EWG robi co do niej należy, otwierając wspólny rynek; do rządzących należy dokonywanie zmian w ładzie politycznym, biorąc pod uwagę dążenia społeczne i cechy kulturowe mieszkańców poszczególnych krajów. Rozwiązanie przedstawionej kwestii nie mogłoby być takie samo w Anglii, przyzwyczajonej od wieków do ryzyka związanego z handlem międzynarodowym i do wielkiej ruchliwości siły roboczej, i we Francji, mającej silne tradycje protekcyjnistyczne, gdzie ochrona społeczeństwa jest czymś w rodzaju dogmatu, gwarancją społecznej zwartości kraju. W Europie istnieje wiele „kultur” mających bardzo głębokie konsekwencje dla

zachowań ludności; zamiar ich integracji jest bardzo trudny do zrealizowania, nawet jeśli od jego powodzenia zależy dojście do wielkiej potęgi<sup>8</sup>.

c) Jedność polityczna. Różnice pomiędzy kulturami narodowymi pojawiają się już na obrzeżach sfer gospodarczej i społecznej; nabierają one jednak największego znaczenia, gdy wkroczymy w sferę jedności politycznej, do której zmierza Traktat Rzymski i Akt Europejski. W tym punkcie nieporozumienia mogą być największe, a europejska budowa może potknąć się o nacjonalistyczne roszczenia niewłaściwie ułożone, jak również o federalistyczne ideologie negujące rzeczywistość.

Przez wieki polityka starała się tworzyć państwa na bazie narodowej, to znaczy łączyć we wspólnym globalnym zamyśle niejednolite często ludy, których jedność miała opierać się na języku, instytucjach, systemach gospodarczych, narodowych systemach obrony. Nie obeszło się tu bez trudności. Francuska „tożsamość narodowa” ukuta została za cenę kilku wojen wewnętrznych i jednej rewolucji, po której nastąpiło Cesarstwo<sup>9</sup>. Niemcy i Włochy musiały również drogo zapłacić za swą jedność i niezależność; nawet Ameryka przeżyła wojnę secesyjną. Widzimy zatem, że wszelka integracja historycznie i kulturowo różnych grup w łonie szerszego związku napotyka zwykle na wielkie trudności, które rozwiązuje się często przy użyciu przemocy. Byłoby wielką naiwnością sądzić, że z Europą może stać

<sup>8</sup> Państwa odpowiadają więc za kierowanie zmianami, jakie narzuca ich ludnościom przyspieszenie wymiany. W tym względzie, jak podkreśla Emmanuel Todd w swej ostatniej książce *L'invention de l'Europe*, sektor szkolnictwa, który pozostaje w gestii państw, stanowi najbardziej niezbędną inwestycję, gdyż od niego będzie zależało na dłuższą metę przystosowanie ludności do nowej sytuacji.

<sup>9</sup> Warto zresztą podkreślić, że jednym z pierwszych posunięć Rewolucji było zniesienie, dekretem Zgromadzenia Narodowego z 31 października 1790 roku, wszystkich opłat i taks wewnętrznych, które istniały pomiędzy prowincjami francuskimi. Redaktorzy Traktatu Rzymskiego nie wyparliby się preambuły tego dekretu: „Wychodząc z założenia, że handel jest środkiem mogącym przyczynić się do niezbędnego rozwoju rolnictwa i rzemiosła, i wzbudzić w nich całą energię, do jakiej są zdolne, oraz że nie może przynieść tego ważnego rezultatu, jeśli nie będzie cieszył się mądrą swobodą; wychodząc z założenia, że jest on obecnie krępowany niezliczonymi pętami; że opłaty istniejące pod różnymi nazwami, ustanowione dla granic, które oddzielały dawne prowincje Królestwa, niewspółmierne w stosunku do ich możliwości i potrzeb, wywierają ujemny wpływ, przez sposób ich pobierania i przez swą surowość, nie tylko na operacje handlowe lecz również na urzeczywistnianie indywidualnych swobód; że czynią one różne części państwa obcymi, że ograniczają konsumpcję, a tym samym szkodzą odtwarzaniu i wzrostowi bogactwa narodowego...” Któż może zaprzeczyć, w świetle powyższych słów, że ekonomia jest polityczna?

się inaczej, i że „państwo europejskie” może narodzić się pokojowo — obdarzone wszystkimi atrybutami suwerenności i uczuciami obecnie zarezerwowanymi dla „ojczyzn”, a to wszystko dzięki politycznej woli zgrupowanych w ten sposób państw. Hipoteza ta jest tym bardziej nieprawdopodobna, że niemal wszędzie — a zwłaszcza w Europie Wschodniej — jesteśmy świadkami oczywistego odżywiania nacjonalizmów, które uważano za ostatecznie zdławione, i że niektóre państwa EWG nie mogą sobie czasem poradzić z własnymi regionalizmami, jak można się o tym przekonać w Belgii czy Hiszpanii.

Nie należy negocjować istnienia tych regionalizmów i rządy nie mają zamiaru tego czynić. Trzeba je połączyć w całość, a właśnie w tym leży trudność. W rzeczywistości, gdy mówi się o „jedności politycznej” Europy, ma się na myśli trzy konkretne elementy: dziedzinę gospodarczą, obronę i stosunki zewnętrzne oraz stworzenie wzmocnionych instytucji zdolnych do wzięcia na siebie politycznej odpowiedzialności w ramach kompetencji, które będą uznane za kompetencje Wspólnoty, pozostawiając w ten sposób narodowym rządów całkowitą wolność we wszystkich innych sprawach, zgodnie z zasadą zwaną zasadą „pomocniczości”.

Należy dostrzec, że kwestie te nie są ani nowe, ani gorszące. Występują one już obecnie w funkcjonowaniu Wspólnoty, w dziedzinach należących do jej kompetencji. Zupełnie uzasadnione jest też pytanie, zadane już teraz, o rzeczywistą lokalizację władzy politycznej europejskiej Dwunastki. Kto podejmuje decyzje? Rada Ministrów? Z pewnością, ale najczęściej większością kwalifikowaną, co jest już przekazaniem suwerenności ze „szkodą” dla krajów, które przypadkiem znajdują się w mniejszości. Zresztą Rada może decydować jedynie na podstawie propozycji Komisji, która może ją wycofać, jeśli uzna, że Rada ją zbyt zniekształciła, a która w istocie korzysta w ten sposób ze swej władzy, aby „wykuwać” większości kwalifikowane lub proponować jedynie projekty do przyjęcia zgodnie z tą procedurą. Czyż więc władza należy do Komisji? Być może, ale nie jest ona aż tak bardzo odpowiedzialna za decyzje, które podejmuje, albowiem w oczach opinii publicznej odpowiedzialni są ministrowie, do których formalnie należy ostateczna decyzja. Mamy tu do czynienia z subtelną i mylącą grą, która będzie obecnie przedmiotem pogłębionej refleksji. A refleksja ta nie będzie rzeczą prostą.

d) Niemożliwe równanie? Dopóki będzie się stawiać tę kwestię w kategoriach konfliktu suwerenności, nie zastanawiając się nad tym, co to oznacza, nie będzie mógł nastąpić żaden postęp

w europejskim przedsięwzięciu. Aby posunąć się naprzód, trzeba powrócić do zasadniczych faktów.

Przede wszystkim, jedność; nie chodzi o wyparcie się kultur narodowych, ale o skierowanie ich wysiłku, w niektórych przynajmniej dziedzinach, ku wspólnemu celowi, gdzie każda z nich mogłaby zdobyć większą siłę niż gdyby została pozostawiona samej sobie. Stopień integracji obecnie osiągnięty w dziedzinie gospodarczej — który musi jednakże rozwinąć się w szeregu innych dziedzin dotyczących tematów coraz bardziej czułych dla opinii — zakłada refleksję nad tematami znajdującymi się rzeczywiście w centrum wspólnego zainteresowania. Oczywiście gospodarka; z pewnością stosunki zewnętrzne w ich gospodarczym aspekcie. Polityka zagraniczna? Trzeba, by państwa, zanim uczynią z niej wspólny cel, były pewne, że zjednoczona Europa będzie miała większy ciężar gatunkowy niż pojedyncze państwa wchodzące w jej skład, co nie jest takie oczywiste, jeśli ministrowie, aby dojść do porozumienia, zadowolają się gładkimi i wyważonymi oświadczeniami, bez autentycznego wpływu na wielkie problemy światowe. Ta sama uwaga dotyczy obrony, tej najwyższej prerogatywy, jeśli taka w ogóle istnieje<sup>10</sup>.

Najbardziej wyraźny postęp będzie musiał od razu nastąpić w lokalizacji władzy we Wspólnocie. Ogólnie rzecz biorąc, trzeba wiedzieć, kto ma co robić. Konieczne jest także, by posiadający władzę sprawował ją istotnie: jest rzeczą oczywistą, że Wspólnota będzie słaba i pogardzana, jeśli jej „władza centralna” — sama w sobie podzielona i niezdolna do inicjatywy — będzie musiała jedynie milczeć wobec władz centralnych (całkowicie

<sup>10</sup> Nie ma nic trudniejszego, jak sporządzenie „listy” dziedzin „zarezerwowanych” władzy federalnej. Państwa i opinie muszą w każdym razie być przekonane o zdolności Unii do zastępowania ich (czyniąc to nawet lepiej niż one same) w sprawowaniu suwerennej władzy nad wymienionymi dziedzinami. Trudno wyobrazić sobie całkowitą delegację suwerenności; nawet zwolennicy bardzo szerokiego federalizmu europejskiego uważają, że państwa powinny zachować autonomię w ustawodawstwie karnym; będą miały także monopol na policję; zachowają swój język — element, który doprowadza od czasu do czasu do dramatycznej sytuacji w Quebecu, gdy usiłuje się igrzać z tym roszczeniem uważanym za zasadnicze dla spójności politycznej. Tak więc Federacja nie jest ojczyzną; nie można jej uosobić, z wyjątkiem dziedziny stosunków międzynarodowych, gdzie mówi ona jednym głosem. Jest też ona konstrukcją racjonalną i utylitarną. Por. refleksje Raymonda Aron, *Paix et Guerre entre les nations*, rozdz. 24, s. 724 n. Jeśli władze federalne będą sobie uzurpować te prawa, może dojść do rozpadu federacji. Traktat Rzymski nie przewiduje „oderwania się” państwa członkowskiego: nie jest to jednak jeszcze powód, aby doprowadzić do takiej ewentualności.

prawowitych i silnych) pojedynczych państw będących jej partnerami, a zwłaszcza Ameryki i Japonii.

Władza ta musi być także „demokratyczna”. Cóż to oznacza? W obecnym stanie rzeczy dokładnie nie wiadomo, kto w oczach narodów jest odpowiedzialny za decyzje. A więc co zrobić, aby temu zaradzić? Czy należy wybrać w powszechnym głosowaniu centralny rząd? Prezydenta? Czy Francuzi i Hiszpanie zgodziliby się być rządzeni, nawet tylko w niektórych dziedzinach, przez Anglika czy Niemca? Czy też trzeba wzmocnić, w łonie Rady Ministrów, władzę przedstawicieli państw członkowskich? Być może, byłoby to bardziej do przyjęcia, z politycznego punktu widzenia, dla każdego kraju, ale czy nie może to uniemożliwić podjęcia decyzji, gdy decyzja ta jest trudna, nawet w dziedzinie gospodarczej, a tym bardziej w dziedzinie stosunków międzynarodowych lub obrony? A jakaż byłaby „przeciwwładza” o charakterze parlamentarnym, przed którą taka władza wykonawcza musiałaby się tłumaczyć pod groźbą konieczności ustąpienia? Czy chodzi o przedstawicieli parlamentów krajowych? Czy też Parlamentu Europejskiego, którego prawomocność powinna zostać w tym przypadku wzmocniona, aby był on bardziej bezpośrednio odpowiedzialny przed wyborcami? Albo nawet przedstawicieli obydwu? Trzeba dokładnie określić wspólne kompetencje, oddzielając je od kompetencji krajowych. Ani konfederacja, ani federacja, ani nawet państwo „jednolite” nie mogą funkcjonować, zduszając lokalne, również prawomocne, władze. Ta refleksja na temat „pomocniczości” znajduje się w centrum obecnych rozważań wokół politycznej jedności Europy. Dziś nasuwają się wszystkie te pytania, tak delikatna jest bowiem równowaga pomiędzy narodowościami (o wartości i bogactwie których wiele się mówi) a istnieniem władzy centralnej o charakterze niemal federalnym, której demokratyczną prawomocność należy ciągle umacniać (aby posiadała ona w dziedzinie polityki, podejmując ryzyko, jakie to zakłada, kompetencje obecnie rozproszone, lecz tym niemniej rzeczywiste) jednak bez podcinania jej skrzydeł, co skazałoby jedność na brak skuteczności i doprowadziłoby do rezultatów przeciwnych niż zamierzone.

Każdy fałszywy krok mógłby mieć poważne konsekwencje negatywne. Toteż gdyby nie udało się rzeczywiście stworzyć wyraźnej równowagi pomiędzy interesami narodowymi a interesem wspólnym, pod strażą całkowicie prawomocnej instytucji, potężnej i demokratycznie kontrolowanej, wzrosłoby ryzyko, że wysiłek ostatnich czterdziestu lat zostanie sprowadzony do stworzenia strefy wolnej wymiany „rządzonej” — jeśli można się tak wyrazić — prawami rynku, która byłaby ugrupowaniem

najbardziej otwartym w świecie, nie mającym jednak żadnej możliwości działania czy reagowania, co mogłoby doprowadzić jedynie do odzicia nacjonalizmów.

## 2. „Wartości” europejskie

I byłyby to wielkim błędem — z powodu gospodarczych i politycznych tradycji, których Europa, cokolwiek by się myślało, pozostaje nośnikiem — mającym konsekwencje nie tylko dla niej samej, ale także dla świata. Być może, nie przez przypadek dwie ostatnie wojny zrodziły się w Europie i stały się światowymi; nowoczesna technologia i nauka, zrodzone w Europie, także stały się światowymi wyznacznikami potęgi, a model demokracji parlamentarnej, zrodzony w Europie, stał się modelem uznanym w całym świecie. Można oczywiście pomyśleć, w każdym przypadku, że był to łabędzi śpiew; że ośrodek władzy leży gdzieś na środku Pacyfiku pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Japonią; że Europa dała historii, co mogła, a inni powinni starać się, by to owocowało. Można także wyobrazić sobie (i pragnąć) równowagę, w której Europa zachowałaby swe miejsce, nie dążąc do hegemonii, ale właśnie stosując do spraw świata równowagę, którą chce przeforsować w kierowaniu swymi własnymi sprawami.

a) „Przyjąć odpowiedzialność za sprawy świata”. Jeśli założymy, że Europa, poprzez zwykłą integrację gospodarek, które tworzą obecnie Wspólnotę Dwunastki, będzie największym rynkiem świata, samo jej istnienie zaciąży w sposób decydujący na równowadze gospodarczej w świecie. Jeszcze bardziej ciężką będą decyzje, jakie będzie musiała podjąć we wszystkich dziedzinach należących do jej kompetencji, gdy stanie się unią polityczną.

Cóż oznacza wyrażenie: „wziąć na siebie odpowiedzialność”? Wyrażenie to ma sens jedynie wówczas, gdy wyjdzie się od pojęcia, zgodnie z którym postawa uważana za „odpowiedzialną” zmierzałaby do osiągnięcia równowagi uznanej za „dobrą”, podczas gdy przeciwna postawa podważałaby tę równowagę, powodując „spaczony rezultat”. Na tym poziomie musi się wyrażać, przynajmniej pośrednio, pewna hierarchia wartości, których dialog, a czasem gwałtowne przeciwstawienie, tworzą wątek ludzkiej historii i substancję decyzji politycznej.

W oparciu o jakie podstawy będzie działała Europa? Dotychczasowa analiza pokazuje, że wewnętrzna polityka europejskich rządów opiera się na założeniach, które w pewnym momencie

znajdą wyraz w ich wizji spraw świata. Ten sam „harmonijny rozwój”, jaki Europejczycy pragną ożywić pomiędzy swymi regionami, musi być także ich koncepcją rozwoju światowego, nawet za cenę obciążenia podatników pomocą dla Trzeciego Świata. Wartości zwane „demokratycznymi”, takie jak: poszanowanie praw człowieka, wielopartyjność, gwarancje sądownicze wobec władzy wykonawczej, muszą być zastosowane do stosunków międzynarodowych, nawet gdyby z tego powodu miały zostać ograniczone „interesy”, jakie można zrobić z niektórymi dyktaturami poprzez stanowcze żądanie ewolucji w kierunku bardziej właściwych ustrojów. Taka jest przynajmniej zasada, gdyż w tej dziedzinie piekło wybrukowane jest dobrymi chęciami. Byliśmy świadkami w Azji Południowo-Wschodniej, jak niezaprzeczalnie złe dyktatury zastępowane były jeszcze gorszymi reżimami w imię ideologii i z poparciem — przynajmniej początkowo — zachodnich demokracji. Tak samo gospodarcze walory wolnej przedsiębiorczości i gospodarki rynkowej, idące w parze z wyrównawczymi mechanizmami społecznymi, stanowią model godny naśladowania. Implikuje to oczywiście, że Europa nie zamknie swych granic dla zagranicznych partnerów nawet wtedy, gdyby — stosując lojalnie tę zasadę — zagrozili oni dobrobytowi takiego czy innego producenta europejskiego, którego mierne osiągnięcia gospodarcze nie wytrzymałyby konkurencji.

Nic z tego wszystkiego nie jest oczywiste. Widać, do jakiego stopnia decyzje, jakie należy podjąć, są brzemienne w skutkach, oraz jak zastosowanie pewnych zasad musi iść w parze z rezeźnaniem ze strony tych, którzy będą o tym decydować, a następnie będą za nie odpowiedzialni przed opinią publiczną. Ale taka jest stawka wiele razy potwierdzonej przez Europę woli ukonstytuowania się na nowo w pierwszoplanową potęgę światową. Europa musi osiągnąć, co jest pozornie sprzeczne, połączenie siły z demokracją, syntezę dobrobytu i sprawiedliwości społecznej, równowagę pomiędzy zdobyciem dominującej pozycji w świecie a rezygnacją z wykorzystywania tej pozycji w celu miażdżenia lub osłabienia biedniejszych; będąc jednocześnie wystarczająco silną, aby musiano ją szanować. Ta panorama — która mogłaby być opisem traktatu o „dobrym rządzeniu” i być oskarżona o idealizm — jest jedyną zgodną nie tylko z początkowymi zasadami przyświecającymi założycielom Europy, ale także z dążeniami opinii publicznych, które wymagają poszanowania takiej równowagi. Zresztą właśnie o tej równowadze mówi teraz ludność Europy Środkowej i Wschodniej.

Nie należy wszelako żywić tak silnego przekonania o znaczeniu modelu europejskiego, by w końcu nie zatracił on swego regio-



nalnego wymiaru. Kraje Wschodu zadają nam bezpośrednio pytanie: czy, gdy przyjdzie czas, będziemy mogli przyłączyć się do Wspólnoty? Turcja, Malta, Austria, a nawet Maroko wystąpiły także z prośbą o ich przyjęcie do Wspólnoty. Przyjdą i inni.

Na razie Dwunastka im odpowiada, że nie skończyła jeszcze swych działań na rzecz integracji wewnętrznej, i że zobaczy się później. Ale pytania stają się coraz bardziej konkretne: jeśli nie jest to możliwe — mówią kraje Europejskiego Stowarzyszenia Wolnego Handlu (EFTA) — czyż nie możemy ustalić między sobą reguł dobrego zachowania, które pozwoliłyby nam, nie zasiadając z wami do stołu obrad, przyłączyć się do decyzji, jakie podejmujecie? A, być może, nawet mieć coś do powiedzenia?

Jest to podstawowa kwestia. Władza polityczna działa jedynie w określonych granicach. Jakie są granice Europy? Czy zbyt ich rozszerzenie pozwoliłoby jeszcze sformułować spójne polityki wspólne, czy też jego jedynym rezultatem byłoby sprowadzenie raz na zawsze europejskiej przygody do stworzenia strefy wolnego handlu, bez innych zamierzeń?

Nie ma jasnej odpowiedzi na to pytanie, które będzie mogło zostać rozstrzygnięte jedynie oddzielnie dla każdego przypadku, przy ogromnych trudnościach psychologicznych i dyplomatycznych. Europa przyjęła Wielką Brytanię i Danię, następnie Grecję, później Hiszpanię i Portugalię. Nie wyszło to jej na złe. Czy jej światowa rola polega na stawaniu się coraz większą konfederacją, aż do uzyskania maksymalnej rozciągłości geograficznej? Z drugiej strony, jakim szczególnym „pokrewieństwem” z EWG mogłaby szcycić się Grecja w stosunku do Jugosławii, Węgier czy Austrii, gdyby kraje te zdecydowały się zaakceptować w pełni cele Traktatu Rzymskiego i dotychczasowy dorobek wspólnotowy?

Na razie odpowiedzi na te pytania są pragmatyczne: zawiera się z tymi krajami umowy o wolnym handlu lub też o stowarzyszeniu czy współpracy. Nadejdzie jednak moment, gdy pojawi się pytanie, czy — zdaniem obecnych członków — państwa, które pragną przystąpić do Wspólnoty, są zdolne do uczestnictwa we wspólnym losie politycznym i do kształtowania tego losu? Ocena ta będzie musiała brać pod uwagę niezwykle złożone elementy ekonomiczne, psychologiczne, historyczne i moralne. Europa nie może zawieść; nie może także się osłabić, ani rozpaść, gdyż nie leży to w niczyim interesie, nawet w interesie jej obecnych partnerów. Jest tu tylko jedna reguła: rozważa i negocjacje.

Ale trzeba mieć przede wszystkim na względzie podstawowy cel, jakim jest umocnienie spójności obecnej Europy, albowiem prawdą jest, że stosunki, jakie będziemy mogli wypracować z na-

szymi sąsiadami, będą tym bogatsze, im dalej posuniemy się sami na drodze do jedności. Kraje Wschodu doskonale to zrozumiały i uznały za korzystne, aby Wspólnota koordynowała pomoc, która im została przyznana. Tak samo Niemcy zaakceptowały całkowicie postulat, aby proces zjednoczenia dwóch państw niemieckich odbywał się pod kontrolą Wspólnoty, uznając, że nie leży w ich interesie powrót do rozkoszy strategii potęgi przetestowanej już w przeszłości.

b) Europejski „materializm”. Niektórzy uważają wreszcie, że wysiłek budowy wspólnoty europejskiej jest po prostu jedną z wielu prób osiągnięcia większego dobrobytu materialnego — przez zdobycie większej potęgi, i że ten „materializm” zamysłu pozbawia go wszelkiej wartości. Właśnie ta hipoteza skłania niektórych myślicieli do twierdzenia, że z braku jakiegokolwiek duchowego „tchnienia” Europa skazana jest na to, by pozostać sprawą handlarzy lub, w najlepszym razie, polityków.

Ocena taka nie jest krytyką, gdyż myli ona różne porządki, które należy, naszym zdaniem, starannie rozróżniać, jeśli chcemy posunąć się w rozumieniu rzeczy. Sztuka rządzenia należy do tego, co nazywamy porządkiem politycznym: ma on na celu zapewnienie panowania zewnętrznego pokoju i bezpieczeństwa, wewnętrznego dobrobytu i spójności. Faktem jest, że chcąc tego dokonać, trzeba odwoływać się do wspólnych wartości zrodzonych z porządku „moralnego”, zgodnie z którym niektóre działania będą dobre, a inne złe. Ale nie może być ona sama osądzana na podstawie tego kryterium. Śmierć (to znaczy zniknięcie z mapy świata) jest dla państwa ostateczną klęską jego władzy politycznej; tak samo ubóstwo czy porażka militarna są klęskami bardziej względnymi, ale nie mniej rzeczywistymi. Tymczasem w płaszczyźnie moralności, a tym bardziej w porządku duchowym, ani śmierć, ani ubóstwo, ani słabość nie muszą być czymś złym.

Próba budowy zjednoczonej Europy odpowiada słusznym dążeniom politycznym, takim jak: zdobycie większej potęgi i dobrobytu. Chociaż środki prowadzące do osiągnięcia tego celu, a zwłaszcza pokojowy i demokratyczny charakter procesu zjednoczeniowego, odpowiadają pewnym kryteriom moralnym, Europa — tak jak żadna inna forma organizacji politycznej — nie może jednak zmierzać do celu, który wykracza poza jej porządek.

Są przykłady organizacji politycznych, które wykraczają poza swój własny porządek. Niektórzy o tym marzą: jest porządek moralny, dzięki któremu społeczeństwo akceptuje to, by jego przywódcy wykluczali takich, którzy nie podzielają w większym lub mniejszym stopniu jego wartości moralnych. Jest również

porządek rasowy, porządek religijny — niepoprawnie nazywany „teokracją”, podczas gdy chodzi jedynie o przyznanie ochrony państwa jednej tylko religii przeciw wszystkim innym. Jest też przede wszystkim porządek ideologiczny, w oparciu o który państwo uważa się za posiadające monopol na powszechną koncepcję dobra i szczęścia (zarówno u siebie jak i u innych). We wszystkich tych przypadkach wrogowie wewnętrzni i zewnętrzni porządku państwa uważani są za przeciwstawiających się dobru wyższemu, globalnemu i wyposażonemu — przez państwo — w atrybuty władzy. Muszą więc być unicestwieni.

Chodzi tu o formy organizacji, które niezaprzeczalnie przynoszą żyjącym w nich ludom co najmniej pewną „dynamikę” w porównaniu z rzekomo „zniewieściałymi” demokracjami materialistycznymi. Ale i to twierdzenie nie wytrzymuje krytyki. Jeśli nawet władzy politycznej udało się zgromadzić znaczną większość swego społeczeństwa wokół ideału o charakterze eschatologicznym (islam, Cesarstwo Niemieckie, które trwało tysiąc lat, komunizm...), musi ona koniecznie — aby kontynuować stymulowanie energii — potwierdzać totalitarny charakter swego zamysłu w sposób coraz silniejszy, zarówno wewnątrz jak i poza swymi granicami. Wynikają z tego często okresy eksterminacji z pobudek politycznych, które rozczłonkują społeczeństwo, prowadząc do wykryształizowania się opozycji i popychając tę ostatnią do zbrojenia się przeciw rządzącej władzy; a także wojny zewnętrzne, które są zawsze rujnujące na wszystkich płaszczyznach, łącznie z ofiarami w ludziach. Cały naród czuje się po pewnym czasie zmęczony takimi przygodami. Przekonaliśmy się o tym w przypadku Afganistanu i Radzieckiego Imperium; przekonamy się o tym w Iranie. Taki los spotkał także przed czterdziestu laty hitlerowski zamysł. Jeśli jakieś państwo musi postępować w ten sposób, aby zdobyć, jak się to mówi, „oddech” czy „duszę”, z góry skazane jest przez historię, gdyż nie zazna pokoju wewnętrznego ani zewnętrznego.

Tym, czego rodzaj organizacji „demokratycznej”, jaką posiadamy na Zachodzie, nauczył świat, jest możliwość oparcia państwa na prawie, podczas gdy porządek polityczny ma za zadanie czuwanie nad poszanowaniem tego prawa, którego funkcją jest formalne zagwarantowanie spójności społecznej w poszanowaniu pewnej liczby zasad o charakterze podstawowym — wolności, prawa do obrony przed sądem, własności prywatnej. Państwo takie, jakie znamy, nie ma więc za zadanie narzucenia ładu totalnego, ale umożliwienie wyrażania wolności każdego — czy to chodzi o swobody indywidualne czy też o grupowe — zgodnie z kodeksem, który przewiduje, że wolność jednostki kończy się

tam, gdzie się zaczyna wolność pozostałych członków społeczeństwa. Z tej przyczyny jest też naturalnie powołane do powściągnięcia swych ambicji moralnych, filozoficznych lub religijnych, albowiem wyrażanie tych ambicji nie należy już do państwa, gdy stają się one przywilejem rozmaitych grup — Kościołów, partii politycznych, związków zawodowych — które są ich naturalnymi wyrazicielami. W tym rodzaju organizacji społeczeństwa państwo może zakazać konstytucyjnie, w imieniu prawa, jedynie działalności ugrupowań, których celem byłoby negowanie samych tych zasad. Ale nawet decyzje tego rodzaju muszą być przedmiotem pogłębionej weryfikacji ze strony sędziów odpowiadających za poszanowanie Konstytucji.

Takie są przyczyny, dla których demokracje zakazują w sumie dosyć niewiele rzeczy w dziedzinach dotyczących moralności, filozofii czy religii, ograniczając się do tego, co stanowi wspólną podstawę wszystkich racjonalnych organizacji politycznych: zakazu zabijania, kradzieży, fałszywego świadectwa... Czy oznacza to jednak, że są one wyłącznie „materialistyczne”?

Jako takie — nie, ale także nie duchowe: są one liberalne, a więc pozostawiają jednostkom i grupom, do których one należą, troskę o udzielenie odpowiedzi na pytanie o wartości, jakie życzą sobie stosować. Problem „materializmu” leży, moim zdaniem, gdzie indziej. Nie jest on związany z taką czy inną organizacją społeczną mniej lub bardziej „liberalną”, ale z ewolucją — zresztą światową — kultur zderzających się z niezwykle szybkim rozwojem technologicznym.

Nie ma tu miejsca na dogłębne przeanalizowanie tego, co oznacza wyrażenie: „społeczeństwo konsumpcyjne”. Należy jednak powiedzieć, że zjawisko to nie ogranicza się bynajmniej do Europy czy do Stanów Zjednoczonych. Każde społeczeństwo jest potencjalnie zainteresowane posiadaniem narzędzia, które zaoszczędzi mu dodatkowych wysiłków, czy dobra, które zaspokoi jakąś potrzebę lub nawet sprawi tylko przyjemność. Problem naszych nowoczesnych społeczeństw polega na tym, że żaden dystans nie dzieli już zaspokojenia tych potrzeb oraz doznania tych przyjemności od pragnienia. Jest rzeczą normalną, że społeczeństwo stara się osiągnąć dobrobyt. Trudno wyobrazić sobie, by mogło go osiągnąć, gdyby jednostki i grupy, które je tworzą, negowały ten cel. W takim przypadku społeczeństwo to musiałoby się zamykać samo w sobie, aby starać się przeżyć to dobrowolne ubóstwo w warunkach samowystarczalności, co jest rzeczą trudną do wyobrażenia, ale teoretycznie możliwą. Jednakże koncentracja energii ludzi na tym jednym celu nie może zaspokoić pragnień społeczeństwa. W tym sensie zjawiska związane ze społeczeń-

stwem konsumpcyjnym — narkotyki, sekty, choroby psychosomatyczne, żaloszny erotyzm — przypominają nam bezustannie, że nie ogranicza się pragnień ludzi do zaspokojenia potrzeb, nawet odpowiednio pobudzonych przy pomocy wielkich kampanii reklamowych. Nowoczesne państwo nie ma nic wspólnego z tą sprawą; tak samo Europa; nie przyniosą też one żadnego rozwiązania dla tego typu nieszczęść związanych z nowoczesną „cywilizacją”.

c) Europa jako „ojczyzna”? Stąd pomyłka tych, którzy myślą, że „europejski ideał”, gdyby został lepiej sformułowany lub gdyby posiadał „suplement w postaci duszy”, mógłby znaleźć odpowiedź na te kwestie. Nie może tego uczynić, ponieważ Europa nie jest ojczyzną, a nawet gdyby nią była, program „patriotyczny” nie stanowi odpowiedzi na te pytania, które mają charakter filozoficzny i religijny.

Z tego, co zostało już powiedziane, wynika, że byłoby rzeczą bardzo niebezpieczną przypisanie państwu roli nośnika wartości moralnych, filozoficznych lub religijnych, albowiem lepiej jest, dla pokoju wewnętrznego i zewnętrznego, aby ograniczyło się ono do zagwarantowania ich swobodnego wyrażania, z uwzględnieniem porządku publicznego. Niektórzy uważają, że rola ta, to rola „ojczyzny” jako całości integrującej wartości charakterystyczne dla jakiegoś narodu.

Pierwsza dwuznaczność, jaką należy tu wyjaśnić, dotyczy miejsca „ojczyzny” w systemie wartości. Oczywiście, nie chodzi już w tym wypadku o państwo totalitarne, ale jedynie o wyrażenie zespołu cech, które należą do sfery „kultury” w szerokim sensie tego słowa, i które uzasadniają pragnienie życia razem, jakie odczuwają członkowie jakiejś zbiorowości terytorialnej, ukształtowanej w taki sposób przez tradycję (słowo „ojczyzna” pochodzi zresztą z etymologicznego punktu widzenia od „ojcowie”). Zaangażowanie psychologiczne i uczuciowe członków tej zbiorowości wobec tych tradycyjnych elementów jest więc silniejsze niż zaangażowanie wobec państwa będącego jedynie polityczną strukturą, mającą za zadanie zagwarantowanie poszanowania porządku w łonie zbiorowości. Można rzeczywiście ubolewać nad osłabieniem tego uczucia.

Ale temu „patriotycznemu” uczuciu nie należy przypisywać większej wagi niż ta, którą posiada w hierarchii wartości. Można w istocie wyobrazić sobie, że „ojczyzna” ma duszę, to znaczy formę niemożliwą do sprowadzenia do jakiegokolwiek innej. W tym sensie lud, który ją tworzy, jest czymś w rodzaju jednostki w społeczeństwie międzynarodowym. Ale także tu chodzi o jed-

nostkę polityczną, a tym samym względną. Cóż to jest ta „wola-życia-razem” Francuzów — jak mawiał ojciec Fessard? Są oni prawdopodobnie przywiązani do swego języka, do swej konstytucji chroniącej prawa obywateli — co najwyżej zmieniają ją, gdy nie chroni ich już wystarczająco — do historii swych królów i swej rewolucji, do swego systemu demokratycznego. Uczucie to objawia się tym mocniej, gdy „ojczyzna jest w niebezpieczeństwie”, to znaczy gdy inny lud ma zamiar narzucić swe prawa i obyczaje całemu narodowi. Ale historyczne kontury tego pojęcia pozostają mgliste: niektóre regiony Francji były (a być może są nadal) ojczyznami dla danej ludności, a przecież były, często w sposób brutalny, przywoływane do porządku przez władze centralne, jak na przykład Langwedocja w czasach Katarów czy Bretania w okresie Rewolucji Francuskiej. W żadnym razie uczucie patriotyczne nie może służyć jako ostateczny cel pragnień ludzi, nawet jeśli w niektórych przypadkach — gdy zagrożona jest ich tożsamość narodowa — mogą zgodzić się na ryzykowanie życia w jego obronie.

Idea, zgodnie z którą można by w pewnym sensie „ożywić” postawę europejskich narodów, uznaną za apatyczną, proponując im jako cel budowanie Europy, jest więc błędna w tym podstawowym sensie, że brakuje tu nie tylko uczucia narodowego lub patriotycznego, ale właśnie sensu ludzkiego. Gdyby nie istniała żadna idea budowania Europy, zwykły rozwój nowoczesnej cywilizacji spowodowałby zaistnienie tego problemu wewnątrz każdego państwa członkowskiego, tak jak dzieje się to w Stanach Zjednoczonych lub Japonii — krajach o zupełnie innych tradycjach.

Ale idea ta jest tym bardziej ciekawa, że Europa nie pretenduje na razie do statusu wspólnej ojczyzny ludów Europy. Nie ma mowy, w europejskiej budowie, o lekceważeniu tradycji narodowych, o stworzeniu jednego języka i jednej kultury, ani nawet o rzuceniu zasłony na konflikty, podczas których jedne ludy Europy powstawały przeciwko innym. Przeciwnie, chodzi o poszanowanie tych różnic tak, by zamiast przeciwstawiać się jedne drugim mogły współpracować w urzeczywistnianiu pewnej liczby wspólnych celów. Jednym z tych celów może być nawet — paradoksalnie — zachowanie tych tożsamości. Komisja Wspólnoty Europejskiej kładzie w tym względzie duży nacisk na znaczenie, jakie miałyby popieranie europejskiej produkcji w dziedzinie audio-wizualnej w obliczu inwazji programów amerykańskich. W przemówieniu wygłoszonym niedawno w Londynie, Komisarz do Spraw Konkurencji, Sir Leon Brittan, znany wszakże jako jeden z gorliwych głosicieli tezy liberalnej, uznał, że

nawet jeśli coraz bardziej powszechne posługiwanie się językiem angielskim odpowiada mu osobiście, gdyż sam jest anglojęzyczny, to dla spójności i bogactwa Europy niezbędne jest zachowanie jej zróżnicowania kulturowego, zwłaszcza językowego.

Europa może być więc ideałem w tym sensie, że chodzi o to, by wspólnie pracować, zamiast ze sobą walczyć. Ale nie pretenduje ona do zastąpienia narodów, które ją tworzą. Tym bardziej jej ambicją nie jest realizacja modelu świata bez wojen czy bez rywalizacji. Mądrość założycieli Wspólnoty polegała na tym, że starali się oni ciągle urzeczywistniać tę równowagę (której nie udało się osiągnąć ani Lidze Narodów w okresie międzywojennym, ani ONZ w ostatnim czasie) pomiędzy słuszną afirmacją tożsamości narodowych i skutecznym poszukiwaniem dynamicznego rozwiązania konfliktów, które mogą stale przeciwstawiać te tożsamości jedne drugim, proponując wyeliminowanie ich w procesie urzeczywistniania wspólnych celów. Pozostaje jednak faktem, że państwa europejskie i sama Europa, nawet jeśli ich postępowanie jest pokojowe, będą miały wrogów — wystarczy, aby inne ludy uważały je za takich. Pokój nie jest nigdy dany, trzeba go stale wymuszać na „stanie wojny”, który jest utajony w stosunkach międzynarodowych z tego prostego powodu, że społeczność międzynarodowa, złożona z państw niezależnych, różnych i dążących do potęgi, musi być miejscem potencjalnych konfliktów. Poszukiwanie pokoju pomiędzy europejskimi narodami jest oczywiście czymś dobrym; nie reguluje ono jednak samo przez się problemów związanych z pokojem i z wojną pomiędzy narodami. Mądre i zręczne kierowanie pokojem i wojną stanowi stałą daną historii ludzkości.

## WNIOSKI

Wyobraźmy sobie, że wszystko się powiedzie. Powstanie ogromny rynek, gdzie można będzie tworzyć bogactwo i swobodnie handlować. Ten bogaty rynek wzbogaci również dostawców i pomoże najbiedniejszym z nich. Jego władze dyskutować będą, jak równy z równym, z innymi potęgami światowymi, usiłując zaradzić brakowi równowagi w świecie, stanowiącemu zagrożenie dla pokoju. Jeśli będą mądre, będą mogły, dysponując bronią, jaką będzie ich odzyskana potęga gospodarcza i polityczna, wywierać konieczną presję, aby zmusić do odpowiedniego postępowania tego czy innego partnera. Wzrost będzie harmonijny; całość będzie cieszyć się silnym bezpieczeństwem zewnętrznym w obliczu potencjalnych wrogów; ponieważ pomnożenie wymiany zmniejszy ryzyko konfliktów innych jak lokalne, po-

zostawać będzie w stanie pokoju ze swymi sąsiadami i partnerami. Jej demokratycznie wybrane instytucje będą mądre, poddane stałej kontroli ze strony instancji sądowniczych lub parlamentarnych broniących prawa, hamowanych w swych zapędach przez kolegialny charakter decyzji podejmowanych za zgodą państw członkowskich o różnych tradycjach.

Cóż by to oznaczało? — Europa wywiązałaby się z kontraktu. Absurdalną byłaby opinia, że byłoby to tyle, co nic. Aby się przekonać, że zrealizowano by tu coś równie ważnego jak równowaga Cesarstwa Rzymskiego po śmierci Hadriana, z dodatkiem pewnych wartości demokratycznych, których nie należy lekceważyć, wystarczy stwierdzić, jak zachłannie kraje Europy Środkowej i Wschodniej rzucają się na ten model, jak na źródło w samym środku pustyni. Tak jak Hadrian u Marguerite Yourcenar medytował na łożu śmierci nad harmonią swego Cesarstwa i nad możliwością powrotu barbarzyńców, którym nie udało się już wszystkiego zniszczyć, ludzie, którzy wznoszą Europę, będą mogli sobie powiedzieć, że pozostanie prawdopodobnie z tej przygody — nawet jeśli zostanie ona zniszczona przez szaleństwo ludzi — coś, jak gdyby duch pokoju, którego będzie można pewnego dnia wskrzesić.

Ale kontrakt ten jest w sposób nieunikniony historyczny i materialny. Nie odpowiada on, i nie może odpowiedzieć, na pytania kulturowe i duchowe dotyczące sensu rzeczy. Cesarstwo Rzymskie dostarczało swym obywatelom chleba i igrzysk. Od Europy można co najwyżej wymagać zapewnienia chleba i zagwarantowania obywatelom, że będą mogli wybrać igrzyska, jakie będą chcieli, zakładając wszelako, że zechcą w dalszym ciągu się bawić, i że nie zachce się im bawić w wojnę<sup>11</sup>. Jeśli zaś idzie o to, co oni wymyślą, nie jest to już sprawa polityki: w grę wchodzi tu społeczeństwo z wartościami, ideologiami, mitami, pragnieniami, które nigdy nie odpowiadały granicom państw, albowiem dotyczą one czasem sfery osobistej, czasami zaś spraw powszechnych.

<sup>11</sup> Europa jako taka nie ma żadnej misji kulturalnej, ani nawet wychowawczej, do spełnienia. Sprzyja ona wymianie studentów, profesorów i badaczy: tworzy ramy liberalizacji wymiany audio-wizualnej i promowania produkcji europejskiej; ale daje w ten sposób jedynie możliwość wzbogacenia się ludziom, którzy zajmują się nauczaniem lub twórczością. Ze swej strony państwa są, na szczęście, bezbronne wobec twórczości; ale określają one programy nauczania, co jest bardzo istotne w tworzeniu kultury narodowej. Jest całkowicie wykluczone, aby Europa zastąpiła je w tej materii; może ona, co najwyżej, zażądać od nich pewnych ustaleń, by urzeczywistnić nostryfikację dyplomów, niezwykle ważną dla swobodnego przepływu pracowników, co stanowi główny cel Traktatu Rzymskiego.



Z powodu zadziwiającej dymisji tych, którzy w społeczeństwie obywatelskim muszą być właśnie nośnikami sensu i zrozumienia z racji swych funkcji, na porządku politycznym spoczywa odpowiedzialność za nauczanie ludzi, jaki jest sens życia. Ale na skutek niezrozumiałego odrzucenia wszelkiego pośrednictwa neguje się też wszelki sens działań ludzkich pod pretekstem, że ten „sens” nie byłby właściwy, albo prawdziwy, albo jedyny. Trzeba więc wyjść z tego impasu, który może jedynie tłumaczyć lenistwo umysłu, albowiem piętnuje on wszelką aktywność.

Trzeba w istocie pozbyć się złudzeń, że europejskie budowanie jest samo w sobie jedynym horyzontem proponowanym ludziom naszego pokolenia. Propozycja ta nie ma zresztą wielkiego sensu, tak jak wszystkie te, które sprowadzają ambicję człowieka do „wielkiego zamiaru” narodowego lub do tryumfu jakiejś ideologii. Nie ma ono także zbyt wiele sensu z politycznego punktu widzenia: „zamiary” polityczne mogą być regionalne, gminne lub światowe — jak dzieje się w przypadku ekologii. Europa jest rodzajem ambicji narodowej — która polega na wyciągnięciu nauki z daremności zamykania się w samotnej afirmacji — zmierzającej do wyrażenia suwerenności narodowej w ramach projektu dającego jej siłę i potęgę.

Właśnie tu należy, wznosząc się ponad porządek polityczny, gospodarczy czy ideologiczny, stwierdzić wyższość sensu duchowego, w wyrażaniu którego rywalizują filozofie i religie; żadne osiągnięcie ludzkie nie może pretendować do dania odpowiedzi na to poszukiwanie, albowiem żadne z nich nie zaspokaja pragnienia wieczności, właściwego człowiekowi.

Trzeba jeszcze pozwolić dojść do głosu temu pragnieniu wieczności. Ale czy nie przemawia ono samo? Czyż trzeba, by człowiek był głodny, cierpiał, był pozbawiony wolności, aby się ono objawiło? Czyż trzeba — z obawy, że ludzie, ogłupieni przez sytość, rozkosz i przez pokój, spędzą życie w stanie całkowitego znieczulenia i umrą przekarmieni, szczęśliwi i zidiociali — wymagać od społeczeństw, by dążyły do celów przeciwnych niż te, do których zostały stworzone? Zresztą, jest prawdopodobnie błędem myślenie, że społeczeństwa zamożne nadają się mniej niż inne do poszukiwania sensu i do ewentualnego głoszenia wartości duchowych: przesłanie Chrystusa poruszyło Zacheusza, który nie był ani biedny ani chory...

W jaki sposób dotarło ono do niego? Chrystus nie potępił go za jego bogactwo; nie nazwał go złodziejem, ani wyzyskaczem; nie wezwał ludu, by zbuntował się przeciw niemu. Zaproponował mu po prostu pewien sens życia, podczas gdy

Zacheusz wiedział doskonale, że dotychczas gromadził jedynie bogactwa dla śmierci. Odkrycie ostatecznego sensu kryje równie wiele niebezpieczeństw dla społeczeństw bogatych, co dla społeczeństw biednych. Mówienie biednym, że muszą nimi pozostać pod karą klątwy, jest równie fałszywe jak mówienie im, że muszą się zbuntować, by przestać nimi być i stworzyć sprawiedliwsze społeczeństwo.

W jednym i drugim przypadku jesteśmy poza tematem, ponieważ poruszamy jedynie jeden aspekt, i to prawdopodobnie nie najtrudniejszy, poszukiwań człowieka. Tak samo daremne jest tłumaczenie bogatym, że ich nieszczęście bierze się z ich bogactwa, rzekomo nieuczciwie zdobytego i rodzącego niesprawiedliwość: nie tylko dlatego, że to stwierdzenie jest często kłamliwe, ale również dlatego, że bogactwo, tak jak i potęga, nie są złe same w sobie, ale jedynie jeżeli stanowią ostateczny cel dla tych, którzy je posiadają. Przesłanie ewangeliczne (a także przesłania wszystkich wielkich religii) zmierza do uwolnienia biednych do pragnienia stania się bogatymi i potężnymi — co jest dobre, ale niewystarczające — i do zadania bogatym pytania pozostającego często bez odpowiedzi, o to, do czego się zmierza, gdy się jest już bogatym i potężnym. Głoszenie jednym i drugim eschatologicznych wartości prawdy i miłości, uzupełnione — jeśli chodzi o chrześcijaństwo — urzeczywistnieniem osobistej komunii z samym Bogiem, jest możliwe jedynie wówczas, gdy wykracza się całkowicie poza kategorie polityczne i społeczne, a nawet kategorie psychologiczne lub moralne; aby sytuować się w punkcie, gdzie osoba ludzka otrzymuje propozycję indywidualnego i zbiorowego sensu o charakterze uniwersalnym, pod warunkiem, że dzięki swej wolności potrafi przełożyć go na język moralności, psychologii lub socjologii.

W tym sensie przesłanie jest ważne zarówno dla biednego, który zabiega o wzbogacenie się, jak i dla bogatego, który nie poszukuje już niczego; dla członka sekty, który odrzuca sytuację, gdzie niczego się już nie poszukuje; dla narkomana, który poszukuje marzeń. Ważne, ale także trudne, albowiem chodzi o odwołanie się do potrzeby i pragnienia budowy „świata” (czy chodzi o społeczeństwo, czy też o indywidualny świat wewnętrzny) widzialnego, którego równowagi się poszukuje, oraz niewidzialnego państwa, którego się nie widzi, a którego równowaga jest niewyobrazalna i nieosiągalna, podczas gdy jest ono dla ludzi rzeczywistym przedmiotem ich poszukiwań indywidualnych i zbiorowych. I ludzie doskonale to wyczuwają: Ksiądz Piotr nie jest pracownikiem socjalnym czy obrońcą uciśnionych (dla tych celów istnieją odpowiednie stowarzyszenia); jest czło-

wiekem, który niesie słowo szalonej miłości tam, gdzie była mowa o organizacji społecznej. Teresa z Kalkuty nie głosi przesłania politycznego: spełnia akt miłości tak, jak może, w sytuacji pozornie beznadziejnej — przynajmniej w najbliższym czasie — której nie ma zamiaru zmieniać, ale w której chce działać i się modlić. Znajdujemy się tu o tysiąc mil od organizacji społecznej. „Świadkowie”, o których mówię, nie negują zresztą w żaden sposób konieczności, jaka staje przed ludźmi odpowiedzialnymi za sprawy publiczne, robienia tego, co do nich należy. Świadczą jednak, już teraz, o wyższym porządku, z którego czerpią sens swego działania, i o niewidzialnym państwie, którego są robotnikami, o którym wiedzą dobrze, że nie może zostać ono urzeczywistnione w państwie ludzi. Taki jest właśnie sens świadectwa mnichów, pisarzy, filozofów, a także — szerzej — każdego człowieka, który gdziekolwiek spełnia akt prawdy i miłości. Nie powinno to odstręczać ludzi dobrej woli od prób wzięcia na siebie odpowiedzialności na szczeblu, na którym działają; ci, którzy odpowiadają za sprawy polityczne, muszą poszukiwać dla swych społeczeństw równowagi, która może być legalnie uznana za dobrą lub złą, zależnie od tego, czy prowadzi do wojny, niesprawiedliwości, zbiorowego ubóstwa, czy wewnętrznych napięć. Ale nawet gdyby była doskonała, równowaga ta, która może sama w sobie mieć sens, nie potrafi dać sensu ludziom, którzy z niej korzystają.

Nie należy wymagać od Europy tego, czego nie może ona dać. Z politycznego punktu widzenia byłoby prawdopodobnie lepiej dla ludów europejskich, gdyby była ona niezależnym i potężnym aktorem swej własnej historii, niż gdyby miała jej doświadczać pod presją zewnętrznych hegemonii. Dobrze byłoby również, gdyby była czymś w rodzaju „laboratorium” demokracji gospodarczej i społecznej, i żeby się przyczyniła ze swej strony do określenia równowagi światowej. W tym sensie budowanie Europy, a następnie rozsądne kierowanie nową równowagą, jaka z tego wyniknie, należy prawdopodobnie do obowiązków ludzi, którzy są odpowiedzialni za rządzenie tworzącymi ją ludźmi.

Ale tak jak władza krajowa, ewentualna „polityczna władza europejska” nie będzie mogła i nie będzie musiała udzielić odpowiedzi na podstawowe pytania człowieka; w przeciwnym razie stanie się władzą ideologiczną. Gdyby to uczyniła, musiałaby ponieść klęskę w swym przedsięwzięciu, starając się ubóstwić bogactwo, rynek, wolność czy jakiegokolwiek inne pojęcie, które nie będzie nigdy stanowić prawdziwej nadziei. Europa nie jest koniecznie materialistyczna czy duchowa. Jest jedynie ramą,

być może wygodniejszą od innych, ale ograniczoną w swym zasięgu geograficznym, w swych ambicjach i w swym celu. Do ludzi, którzy ją tworzą, należy zrobienie tego tak, by ramy te nie były więzieniem.

tłum. **Małgorzata Tryc-Ostrowska**